

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Zwycięstwo polityki francuskiej. — *Ludwik Kulczycki*: Spór o stosunek do Rosji. — *Inż Aleksander Ringman*: Handel z Rosją. — *T. H.*: Czy nam danina pomoże? — W obronie tolerancji. — Dyskusja o odbudowie Rosji. — *A. R.*: Przed konferencją w Genui. — Towarzystwo Polsko-Węgierskie. — *M. R.*: Literatura młodej Irlandji. — Kronika literacka i artystyczna. — *Prof. Dr. Józef Strzygowski*: Sztuka plastyczna Wschodu. — Literatura i sztuka u obcych.

ZWYCIĘSTWO POLITYKI FRANCUSKIEJ.

Omawiając ustąpienie Brianda i przyjście do władzy Poincarego w № 4 „Tygodnia Polskiego“ z dnia 21 stycznia („Między Cannes a Genuą“) daliśmy bardzo optymistyczną ocenę polityki francuskiej wbrew przeważającej u nas opinji, zatrwożonej izolacją Francji. Pisaliśmy mianowicie, że chwila jest pomyślna dla Francji, która dbając o utrzymanie Entente cordiale, może jednakże jasno i stanowczo postawić swoje warunki i nie jest bynajmniej zmuszoną bezwzględnie ulegać Anglii. Dalszy przebieg wypadków w zupełności usprawiedliwił nasz pogląd. Poincaré w swoim memorjale w sprawie Konferencji Genueńskiej stanowczo i jasno skreślił warunki, od których przyjęcia Francja uzależniła swój udział w konferencji, i Anglija te warunki przyjęła.

Wobec wyników narady w Boulogne i wobec solidarności z Francją małej Entente'y jest oczywiście, że Francja nie tylko nie będzie odo-sobnioną w Genui, ale że sprawy tam pójdą w kierunku przez francuską politykę wytkniętym, gdyż początkowy projekt Lloyd George'a uległ zasadniczym zmianom.

Jest zrozumiałem przeto niezadowolenie bolszewików z Poincarego. Moskiewska „Prawda“, jeszcze nie wiedząc o wyniku narady w Boulogne, pisała:

„Francja zmierza do tego, aby postawić Rosję w Genui wobec faktów dokonanych. Jeżeli Lloyd George robi to ustępstwo Francji, to Konferencja Genueńska traci wszelki sens, Europa widocznie chce uzgodnić swoją akcję kosztem Rosji i pomimo Rosji. W takich warunkach konferencja staje się wprost komedią, uczestniczyć w której dla Rosji sowieckiej jest bezcelowem. Jeżeli wielka lub mała Ententa chcą zakomunikować Rosji już powzięte decyzje, to mogły by

to uczynić przy pomocy radjo i natychmiast otrzymać odpowiedź... Rosja weźmie udział w Konferencji Genueńskiej w tym tylko wypadku, jeżeli Konferencja w Genui odbędzie się tak „jak projektowano w Cannes“. Podobno w tymże duchu, w jakim pisze „Prawda“ i Cziczerin ma wystosować notę z protestem do wszystkich państw z wyjątkiem Francji.

Artykuł „Prawdy“ wyżej przytoczony stwierdza cośmy pisali w poprzednim numerze „Tygodnia P.“ w artykule „Miraże genueńskie“, a mianowicie, że bolszewicy będą starali się wyzyskiwać rywalizację między państwami, która ujawni się w Genui, jeżeli państwa zawczasu nie uzgodnią swojej polityki wobec Sowietów. Francja pokrzyżowała plany bolszewików, rozwiała nadzieje obudzone pierwotnym pomysłem Lloyd George'a, zgodnie z którym na Konferencji w Genui miały być wspólnie z bolszewikami obmyślane środki odbudowy Rosji, a zatem i Europy. *Inde ira*. Gniew komunistów przeciwko Francji, z którą próbował flirtować Radek, jeszcze spotęźniał, gdy się dowiedzieli o wynikach narady w Boulogne, zgodnie z którymi zaproszenie przedstawicieli sowieckich na konferencję jeszcze nie przesądza uznania władzy Sowietów, uznanie bowiem nastąpi potem, jak Sowiety uznają długi Rosji i dadzą wogóle gwarancje, że dotrzymają warunków ustalonych w Cannes. W ten sposób sprowadza się do zera możliwe zgubne następstwa Konferencji w Genui, co organ komunistów sformułował w słowach, że udział w Konferencji Genueńskiej staje się dla Rosji sowieckiej bezcelowym.

Sceptyczna ocena możliwych wyników Konferencji Genueńskiej wywołuje zarzuty, że taki sceptycyzm jest szkodliwym. Żeby czegoś dokonać, trzeba wierzyć w powodzenie. Ludzkość potrzebuje wiary w to, że jej usiłowania znaleźć nie wyjścia z obecnej ciężkiej sytuacji będą po-myślne i przyniosą owoce pożądane.

Tak, ludzkość potrzebuje wiary, ale bynajmniej nie wiary w każdą próbę rotowania sy-

tuacji, chociażby nawet nie szczerze podjęta, źle obmyślana i pozbawiona podstaw realnych. Jeżeli o jakimś powstającym przedsięwzięciem akcyjnym zgóry wiadomem jest, że nie ma podstaw realnych, to budzić wiarę w takie przedsięwzięcie i zaufanie do akcji nowej spółki, nie znaczy bynajmniej przyczyniać się do podniesienia przemysłu i podźwignięcia gospodarki krajowej.

Taklem właśnie przedsięwzięciem jest pomysł Lloyd Georga, jak to usiłowaliśmy wykazać w artykule „Miraze geneueńskie“. Pomysł ten wypływał bynajmniej nie ze szczerzej woli do czynu wielkiego i stanowczego, jakiego wymagała by naprawa rozpaczliwej sytuacji ekonomicznej świata, a tylko z chęci ludzenia siebie i innych, że poprawa ta może być łatwo osiągnięta bez zmian radykalnych, bez ofiar i wysiłków.

Budzić wiarę w takiego rodzaju plany, to znaczy usypiać ludzkość na tej pochyłości, po której stacza się już w coraz większą otchłan zubożenia i upadku kultury.

SPÓR O STOSUNEK DO ROSJI.

Państwo Polskie, położone pomiędzy Niemcami a Rosją, pomimo swej względnie dużej rozległości i znacznego zaludnienia — znajduje się niezawodnie i znajdować będzie w położeniu nader trudnem, to też jest rzeczą niewątpliwie zupełnie uzasadnioną, że obecnie już politycy i publicyści, zdając sobie sprawę z tego, poruszają sprawę przyszłego stosunku Polski do jej dwu najsilniejszych i zarazem najniebezpieczniejszych sąsiadów. W №№ 1 i 2 wznowionego „Przeglądu Wszchpolskiego“ Dimowski, Kozicki i Taylor omawiają przyszły stosunek Polski do Niemiec i Rosji; przedmiotowi temu poświęca też „Czas“ swój artykuł wstępny w № 47.

Przywódca narodowej demokracji widzi w przyjaznem ukształtowaniu się stosunku Polski do Rosji „zagadnienie“ naszej polityki zagranicznej, twierdząc, że nie powinniśmy stać się pomostem pomiędzy Niemcami a Rosją, co, zdaniem jego, ułatwiłoby później Niemcom zgniecenie państwa naszego, przy jej pomocy. Przeciwno dopuszczeniu Niemiec przez nas do odbudowy Rosji przemawiają też Kozicki i Taylor, zalecając nam zbliżenie się do Czech i Rumunji, celem dokonania tego przy ich pomocy.

„Czas“, we wspomnianym wyżej artykule, wykazuje słusznie, że Polska, nawet przy pomocy Czech i Rumunji, nie będzie w możności odbudować Rosji i wogóle przyjść jej z pomocą gospodarczą całkowicie wystarczającą; że pomoc tę może dawnemu państwu carów okazać tylko wspólna akcja wielkich mocarstw z nami.

Rozumowanie „Czasu“ pod tym względem jest całkowicie słuszne, co stwierdzić musi każdy znający dobrze stosunki rosyjskie. Zresztą, jeżeli się chce istotnie politycznego zbliżenia do Rosji, to utrudnianie jej odbudowy przez usuwanie Niemiec od współdziałania w niej, usuwanie państwa, któremu łatwiej jest to zrobić, niż innemu, nie prowadziłyby do tego celu, lecz raczej wprost przeciwnie, utrudniałoby jego osiągnięcie. Niemcy przez swoją świetną organizację przemysłu, przez swe położenie geograficzne, nadają

się doskonale do odegrania bardzo poważnej roli w przyszłej odbudowie Rosji. Polska nie będzie mogła temu przeszkodzić w żaden sposób, wobec naporu Anglii i Niemiec. Opór jej nie osiągnąłby celu, natomiast zaostrzyłby tylko stosunek jej do dwu jej najsilniejszych sąsiadów.

Tyle co do problemu ekonomicznego w zakresie stosunku Polski do Niemiec i Rosji.

W zakresie stosunków politycznych „Czas“ nie godzi się na wywody przywódcy narodowej demokracji, podnosząc ten fakt, że w społeczeństwie rosyjskiem niema obecnie żywiołów, poza grupą Sawinkowa, któreby zgodziły się na przynależność do Polski Wilna z Litwą, Wołynia, Chełmszczyzny i Galicji Wschodniej. „Czas“ uważa, że nasza polityka iść powinna w kierunku dopomożenia do zdobycia politycznej samodzielności narodu litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego.

Otóż w rozumowaniu powyższem jest wiele niedokładności i błędów i doza tylko prawdy.

Jeżeli chodzi o moment obecny, to niezawodnie w Rosji, a raczej wśród partji rosyjskich, działających przeważnie za granicą, niema żywiołów, któreby godziły się na utratę Wilna z Litwą i zachodniej części Wołynia; natomiast nie można już twierdzić, że ogół rosyjski nie zgodzi się na przynależność do Polski Chełmszczyzny i Galicji Wschodniej. Już nawet przed wojną były w Rosji żywioły, które nie domagały się włączenia Chełmszczyzny, a tem mniej Galicji Wschodniej do Rosji. Co innego Wilno, a co innego Łwów.

Jednakże nie ulega wątpliwości żadnej, że już samo żądanie Wilna utrudnia, a nawet uniemożliwia w przyszłości bliższe porozumienie się z Rosją. W danym jednak wypadku nie może nam chodzić tylko o tę bliższą przyszłość, gdyż, zanim Rosja odbudowana zostanie, dużo upływie czasu i w tym punkcie dziennik krakowski ma rację. Polityk jednak musi sięgać swym wzrokiem dalej. Otóż jeżeli będziemy to mieli na względzie i rozważali nasze stosunki do Niemiec i Rosji, to wówczas musimy zwrócić uwagę nie tylko na subiektywne nastroje jednostek i grup wobec Polski w tych dwu państwach, lecz także na obiektywne warunki stosunku naszego do nich, a wówczas okaże się niewątpliwie, że zbliżenie się nasze do Rosji będzie o wiele łatwiejsze, niż do Niemiec.

Istotnie: utrata przez nie części najbogatszej Śląska Górnego i korytarza naszego do Bałtyku, a więc Prus Zachodnich — jest dla nich bez porównania żadnego dotkliwszą, niż utrata przez Rosję Wilna, części zachodniej Białorusi i zachodniego Wołynia. To też, w konsekwencji tego faktu, jest rzeczą o wiele prawdopodobniejszą, że po upływie pewnego czasu, przy umiejętniejszej polityce z naszej strony łatwiej będzie porozumieć się nam z Rosją, bez straty tych prowincji, niż porozumieć się z Niemcami, bez straty Śląska i korytarza do Bałtyku.

Naturalnie polityk realny nie może ignorować chwilowych choćby nastrojów społecznych, jeżeli są one silne i szeroko rozpowszechnione; ale z drugiej strony polityk taki nie może też uwzględniać pewnych czynników obiektywnych, które przedtem czy później muszą wywrzeć swój wpływ.

Natomiast najgorszą polityką wobec Rosji byłaby ta właśnie, którą doradza „Czas“, to jest polityka budowania państwowości ukraińskiej i białoruskiej. Pomijając już ten fakt, że zadanie takie przekracza całkowicie siły nasze i że wciągnęłoby nas w długoletnią wojnę, co mogłoby tylko podkopać byt naszego państwa, zwrócić należy uwagę i na to, że państwo ukraińskie, powstałe z prowincji oderwanych od Rosji, z konieczności musiałoby dążyć do oderwania Galicji Wschodniej, a prawdopodobnie i Chełmszczyzny, gdyż tylko w pierwszej z tych prowincji znalazłoby materiał stosunkowo jeszcze jako tako przygotowany do odrębnego bytu państwowego.

Mówienie zaś i pisanie obecnie o państwowości białoruskiej jest polityczną naiwnością. Białorusini nie mieli nigdy i nie mają zadatków niezbędnych nie tylko do utworzenia odrębnego państwa, ale nawet do utworzenia odrębnego narodu.

Co zaś do samodzielności Litwy to ta już istnieje. Wileńszczyzna w znaczeniu narodowym Litwą nie jest i nie będzie. Wybory do Sejmu wykazały słabość Litwinów. Brało w nich udział 64% uprawnionych. Ponieważ statystyka wyborcza wskazuje, że nawet w normalnych warunkach 10 do 15% obywateli wstrzymuje się zwykle od wyborów, więc przypuścić możemy, że co najwyżej na terenie t. zw. Litwy Środkowej jest jakieś 20 kilka procent ludności nie pragnącej należenia do Polski.

Na terenie dawnej Litwy historycznej a nie etnograficznej dokonywują się doniosłe zmiany etniczne, których społeczeństwo rosyjskie nie zna, a o których należy je poinformować.

Wywody „Czasu“ w zakresie polityki budowania Ukrainy i Białorusi są zupełnie fantastyczne, którym fakty zadają już klam. Polityka zalecana przez dziennik krakowski nie doprowadziłaby do podziału Rosji, lecz tylko osłabiłaby nas i przyspieszyła związek Rosji z Niemcami, związek, obliczony na naszą zgubę.

Jeżeli wzmocnimy nasze państwo, przez uporządkowanie naszej administracji, zaprowadzenie w niej ładu, utrwalenie konstytucji, rozwój samorządu, jeżeli stworzymy dla siebie system sojuszków na Zachodzie z Francją, na południu z Rumunją i Węgrami; jeżeli potrafimy na kresach dać możliwość narodowo-kulturalnego rozwoju obcym grupom narodowym, przy całkowitem zachowaniu autorytetu państwa, jeżeli wzmocnimy tam żywioł polski, co nie przedstawia dużych trudności, to stworzymy należyte podstawy dla utrwalenia naszego bytu niepodległego.

Równoległe do tego, dziś już należy oddziaływać na społeczeństwo rosyjskie w kierunku uzasadniania naszych słusznych praw do linii przysądzonej nam przez traktat w Rydze, a czego nie robi ani rząd nasz, ani społeczeństwo. Biorąc udział czynny w odbudowie Rosji, nawet z innymi państwami — będziemy mogli w nowej Rosji zdobyć pewien wpływ. Ponieważ utrata Wilna, części Białorusi i zachodniego Wołynia praktycznie nie da się Rosji we znaki, to nowe pokolenia, przy umiejętnej polityce z naszej strony, pogodzą się prawdopodobnie z faktami dokonanymi.

Ludwik Kulczycki

HANDEL Z ROSJĄ.

I.

Opieraliśmy w trzech - czwartych częściach terytorjum Rzeczypospolitej swe rachuby i widoki gospodarcze w zbycie towarów na bezbrzeżnym wprost rynku rosyjskim, a nawet perskim i chińskim. Byliśmy na rynku rosyjskim prawie bez konkurencji, nietylę — jak to dalej udowodnię — z powodu naszego położenia geograficznego, ile na skutek związku celnego z Rosją, w której towaru zagraniczne spotykały częstokroć nieprzepartą barjerę celną.

Z tego powodu wybuchał u nas nadmiernie przemysł włóknisty, znacznie przerastający potrzeby rynku polskiego i znacznie drożej, niż w Niemczech kalkulujący swe wyroby, ponieważ wszystkie prawie czynniki (prócz robocizny) produkcji wypadły u nas drożej, niż za granicą, szczególnie zaś w Niemczech. Droższymi u nas były: i surowiec, który — wełnę i bawełnę — sprowadzaliśmy na obcych okrętach z za oceanu lub z niezmiernie odległego Turkiestanu, opał, który w 50% sprowadzaliśmy z zagranicy, droższym był kredyt i transport, bo nie mieliśmy zupełnie kanałów, droższymi i gorszymi były urządzenia techniczne i organizacja handlowa przemysłu. Po wojnie wszystkie te czynniki kalkulacji podrożały jeszcze w stosunku do zagranicy, prócz robocizny, która do jesieni roku ubiegłego na skutek deprecjacji marki była znacznie tańszą, niż za granicą.

Dziś, dzięki raptownemu wzrostowi kursu marki, nawet robocizna jest u nas droższą, niż w Niemczech i cały nasz przemysł eksportowy — a taki ma charakter 75% naszego przemysłu — musiał znacznie zredukować swą produkcję, skoro nie mógł konkurować z wyrobami zagranicznymi, nawet na rynku krajowym, chronionym cłami nieomal prohibicyjnymi.

Jakież wyjście? Liczymy na nasze położenie geograficzne i ponowne opanowanie rynku rosyjskiego. Czy nie są to złudzenia, polegające na przyzwyczajeniu myślenia kategorjami przedwojennymi? Czy Niemcy nie mogą się dostać do Rosji pomimo nas i czy nie wypadnie im to nawet taniej, niż tranzytem przez Polskę? Odpowiedź na te pytania trzeba dać koniecznie i odpowiedź stanowczą na dłuższą metę obliczoną, a nie budowaną na przejściowych korzystnych koniunkturach w handlu z Rosją.

Otóż twierdzą, że gros naszego przemysłu: przemysł włóknisty, na trwałe opanowanie rynku rosyjskiego liczyć już nie może, ponieważ: 1) wyroby tego przemysłu kalkulują się znacznie drożej, niż w Niemczech, 2) nawet przy równych ofertach Rosjanie wyblorą niemieckie, 3) nasze położenie tranzytowe w stosunku do Niemiec i wogóle krajów zachodnich nie jest tak korzystne, jak to się na pierwszy rzut oka wydaje.

Pierwsze dwie tezy mego twierdzenia są tak oczywiste, że dłużej się nad nimi zastanawiać nie będę, natomiast zatrzymam się nieco na punkcie 3, to jest na naszym korzystnym w stosunku do Rosji położeniu geograficznym.

Przed wojną, gdy koleje na obecnym terytorjum Rzeczypospolitej, oraz w Rumunji i w Litwie Kowieńskiej funkcjonowały zupełnie sprawnie

i miały dosyć parowozów i wagonów, przez granice przedwojenne tych trzech krajów przeszło tylko 28% całego europejskiego obrotu handlowego byłego imperjum rosyjskiego z zagranicą. Cyfrowo wyrażało się to w 1913 roku 561,9 milionów pudów ładunków przewiezionych przez lądową europejską granicę byłego Cesarstwa Rosyjskiego. Reszta, to jest 72% całego transportu, czyli 1445,9 milionów pudów ładunków, przypadała na transport morski, który rozkładał się na byłe porty rosyjskie w sposób następujący:

1. na porty Bałtyckie	815,5 mil. pud. t. j.	40,6%
2. „ „ Czarnego i Azowskiego morza	530,6 „ „ „	26%
3. „ „ Białego morza	99,8 „ „ „	5%

Dziś porty Bałtyckie za wyjątkiem Petersburga politycznie do Rosji nie należą, lecz wiadomo jest powszechnie, że cała Estonia i Łotwa swój względny dobrobyt ekonomiczny zawdzięczają wyłącznie swym portom: Rewlowi, Rydze, Libawie i t. d., które były i pozostaną nadal głównymi punktami handlu rosyjskiego z zagranicą.

Tembardziej się to tyczy portów czarnomorskich i azowskich: Odesy, Sebastopola, Teodozji, Noworosyjska, Kerczi, Batumu i t. d., które pozostały w faktycznym władaniu Rosji.

Wobec zniszczenia taboru kolejowego nie tylko rosyjskiego, lecz i naszego, korzystniej będzie dla Rosji przewieźć towary zagraniczne i swe surowce do portów wymienionych, ponieważ o ile na naszych kresach wschodnich koleje rosyjskie strategicznie przedewszystkiem miały charakter, o tyle do portów bałtyckich i czarnomorskich prowadziła stosunkowo gęsta sieć głównych dróg żelaznych dla celów handlowych przedewszystkiem zbudowanych i najmniej relatywnie obecnie zniszczonych. Należy też pamiętać, że porty wymienione leżą niedaleko ujścia spławnych rzek rosyjskich, które bądź to w części: Zachodnia Dźwina i Dniestr, bądź to w całości: Dniepr, Don i Newa, nadal do Rosji należą.

Największa wprawdzie arterja komunikacyjna Rosji Wołga wpada do zamkniętego morza Kaspjskiego, ale ujemne strony tego faktu po części neutralizują się tem, że koło Carycyna Wołga zbliża się na 50-60 kilometrów do Donu i rzeki te mają być w najbliższej przyszłości połączone kanałem umożliwiającym przeprowadzenie ładunków bez przeladowania do Rostowa nad Donem ze wszystkich nieomal większych miast Rosji Środkowej, południowo- i północno-wschodniej oraz północnej. Kanał ten będzie oczywiście gotów dopiero za lat kilka, może kilkanaście, ale w uwagach niniejszych uwzględniłam nie tylko i nie tyle chwilę bieżącą, ile najbliższą przyszłość naszych stosunków handlowych z Rosją.

Zresztą nawet bez kanału Wołgo-Dońskiego, rzeki te, oraz Wołga z morzem Czarnem są związane trzema linjami kolejowymi, które wychodzą z Carycyna do: 1) Kałaczu nad Donem, 2) Rostowa nad Donem 3) Rostowa nad Donem i Noworosyjska przez Targową, względnie Tichorecką.

Jakie zaś rzeki rosyjskie posiadają znaczenie dla transportów towarów, świadczy fakt, że w 1913 roku przewieziono na nich 3.347.427.000 pudów towarów, wobec 15.491.898.000 pudów przewiezionych kolejami. Jest to (21%) procent bardzo wysoki, nawet w porównaniu z pokryciem

gęstą siecią naturalnych i sztucznych dróg wodnych Niemcami, tembardziej, że cyfra 3.347.427.000 pudów ładunków przewiezionych na rzekach rosyjskich nie obejmuje przeważnie olbrzymiej ilości drzewa przewiezionego na rzekach rosyjskich, które — szczególnie Wołga, Wiatka, Kama i Północna Dźwina, w lecie i jesieni literalnie pokrywały się w czasach przedwojennych przewożeniem niemi drzewem (bieliany).

Takie było znaczenie transportu rzeczno-rosji przed wojną. Dziś transport rzeczny, jak, wszystko w Rosji podczas gospodarki bolszewickiej ucierpiał bardzo, lecz relatywnie biorąc ucierpiał bez porównania mniej, niż transport kolejowy, a to z dwóch względów:

1) Rzeki rosyjskie są przeważnie o tyle spławne, że transport na nich mało był uzależniony od sztucznych środków (budowy i konserwacji śluz, regulacji brzegów i t. p.).

2) Tabor statków rzecznych ucierpiał znacznie mniej, niż tabor kolejowy, o czem świadczą następujące cyfry:

Stan flotyli rzecznej przed wojną:
3914 sztuk paro i dislo - statków

Stan obecny:
3.322 sztuk.

Zmniejszenie wynosi tylko 16% i wprawdzie nie jest tu ściśle podana liczba parostatków chorych, wymagających kapitalnego remontu, lecz liczba ich jest bez porównania mniejsza od liczby parowozów chorych lub zupełnie niezdalnych do użytku.

Parowozów zdrowych kursuje obecnie na blisko 57.000 kilometrów dróg żelaznych Europejskiej Rosji tylko około 7.000, gdy powinno ich być (4 parowozy na 10 km. trasy) z górami 22.000 sztuk.

A czynne i jakkolwiek zdolne do ciągnięcia ciężarowych pociągów parowozy kursują tylko na głównych drogach handlowych, do portów morskich prowadzących.

Jeszcze jedna okoliczność powoduje, że transport morski i rzeczny ma obecnie znaczną w Rosji przewagę nad transportem kolejowym — jest nią absolutny brak opalu w postaci węgla i względna jego obfitość w postaci ropy naftowej.

W pierwszym półroczu roku 1921 w Donieckim Zagłębiu wydobyto około 2,5 milionów tonn węgla (w roku 1915 za półrocze 13 milionów tonn), z czego około 1,25 milionów tonn, (50% produkcji) poszło na potrzeby własne kopalni. Ponieważ z pozostałych 1,25 milionów tonn prawie cały węgiel poszedł na potrzeby ciężkiego przemysłu Donieckiego Zagłębia, przeto koleje nie otrzymały węgla prawie wcale, opalając się drzewem, lub — w nieznacznej części z powodu nieodpowiednich palenisk — ropą.

Tabor rzeczny znajduje się pod względem opalu w znacznie lepszych warunkach.

Cały prawie tabor i paro i dislo - statków Wołgi i jej licznych dopływów, oraz część znaczna taboru rzek większych opala się ropą, której produkcja wynosiła w Groźnem przeciętnie miesięcznie około 7 milionów pudów, to jest tyleż, co przeciętna miesięczna w latach 1913 — 1915. W Baku produkcja znacznie spadła, lecz wynosi obecnie też około 30% przedwojennej i ma tendencję zwykłą.

Z uwag powyższych jasnym się staje, że jeżeli przed wojną główny obrót handlowy Rosji z zagranicą przypadał na jej europejskie porty morskie, to obecnie relatywnie procent dowozu i wywozu towarów morzem w stosunku do granicy lądowej jeszcze się zwiększył, tembardziej, że obrót handlowy wszystkich państw Europy Zachodniej, a szczególnie Anglii z innymi częściami świata znacznie się skurczył i Anglii pod względem transportu na morzach dalszych w czasie wojny i w latach powojennych przybył groźny współzawodnik transportowy, Stany Zjednoczone, których flota handlowa w ostatnim ośmioleciu powiększyła się siedmiokrotnie. Floty wszystkich innych państw europejskich, prócz Niemiec i Austrii, którym flotę zabrała Anglia, Francja i Włochy, też się znacznie powiększyły.

Wyżej powiedziane ilustrują następujące cyfry:

Państwo:	Pojemność floty w tonach	
	czerwiec 1914 r.	czerwiec 1921 r.
Anglia	20.284.000	21.238.000
Stany Zjednocz.	1.837.000	12.314.000
Francja	1.988.000	3.046.000
Włochy	1.428.000	2.378.000
Norwegia	1.923.000	2.285.000
Niemcy	5.098.000	654.000
Austria	1.052.000	— — —
Japonia	1.642.000	3.063.000
Hiszpania	883.000	1.094.000
Szwecja	892.000	1.037.000
Holandja	1.471.000	2.207.000
Grecja	820.000	576.000
Dania	768.000	866.000
	<u>40.086.000 t.</u>	<u>50.758.000 t.</u>

Prócz konkurencji na dalekich morzach i oceanach powiększonych znacznie flot Stanów Zjednoczonych i Japonii na zmniejszenie się światowych rejsów floty angielskiej wpłynie też bardzo znaczne skurczenie się handlu angielskiego z Ameryką Południową i jej kolonjami. Szczególniej wpływa na to zmniejszenie wywóz angielskiego węgla, którego w roku 1920 eksportowano tylko ogółem 24.000.000, gdy w roku 1913 wywieziono go ogółem 73.400.000 tonn.

I na tem polu wyparły Anglię Stany Zjednoczone, które powiększyły swą produkcję miesięczną węgla z 43.000.000 tonn w r. 1913 na 51.000.000 tonn w sierpniu r. 1920 (rocznie zatem Stany Zjednoczone mogą wyprodukować bez trudu przeszło 600.000.000 tonn).

Z powyższych względów towary niemieckie mogą być przewożone do bałtyckich i czarnomorskich portów rosyjskich przy pomocy próżnującej obecnie floty angielskiej i przy współudziale znacznie też powiększonych flot: holenderskiej, norweskiej i szweckiej i t. d.

Zresztą i rosyjska morska flota handlowa, podobnie jak floty statków rzecznych, stosunkowo nie jest bardzo zniszczona.

Podług obliczeń rosyjskiego komisariatu komunikacji w dniu 1 listopada 1920 r., stan floty handlowej rosyjskiej przedstawiał się liczebnie, w porównaniu z okresem przedwojennym w sposób następujący:

Rodzaj statków:	1 listopada 1920 r.	r. 1913.
parostatków	301 sztuk	733 sztuk
zajłowych schun i bark	382	2.418
Razem pojemności w tonach	500.000 tonn	1.270.000 tonn

Lecz dużo schun i bark w obliczenie komisariatu nie weszło tylko dlatego, że w swolm czasie umknęły te schuny od nacjonalizacji.

Obecny prawdopodobny stan morskiej floty rosyjskiej jest znacznie większy z powodu:

1) pobicia ostatecznego generała Wrangia i zdobycia wszystkich portów morza Czarnego i Azowskiego;

2) powrotu znacznej ilości statków rosyjskich z portów zagranicznych, wobec faktycznego uznania Rosji Sowieckiej przez Anglię i niektóre inne państwa;

3) spotęgowania w r. 1921 remontu morskich statków.

O zmniejszeniu relatywnem udziałów naszych kolei w obrotach handlowych Rosji z zagranicą decyduje jeszcze ta okoliczność, że z wymienionych 28 procentów tych obrotów, przypadających przed wojną na granicę europejską, znaczna część przypadała na stację pograniczną Wierzbołowo, znajdującą się obecnie w Litwie Kowieńskiej, a część przywożonych towarów przypadała na stacje pograniczne rumuńskie.

Jeżeli jeszcze uwzględnić, że część towarów przewożonych do b. Imperjum Rosyjskiego przez naszą obecną granicę zachodnią wśląkała na obecnem terytorjum Rzeczypospolitej, to okaże się, że uwzględniając wszystkie powyższe okoliczności, nasze pograniczne stacje będą partycypować w zagranicznym handlu obecnej Rosji Sowieckiej nie w tak wysokim stopniu, jak jest powszechne mniemanie, lecz najwyżej w (10—12) procentach całego obrotu handlowego Rosji z zagranicą.

(D. n.).

Inż. Aleksander Ringman.

CZY NAM DANINA POMOŻE?

II.

Główną podstawą paskarstwa jest obniżenie wartości marki polskiej zupełnie sztuczne, lecz z wyjątkowym talentem na całym obszarze Rzeczypospolitej przeprowadzone.

Pomimo zysku dla paskarza, daje to w rękę naszych wrogów politycznych doskonały oręż — stawiając walutę młodego zasobnego państwa narównie prawie z koroną dogorywającej i beznadziejnie zrujnowanej staruszki Austrii i rublem umierającego od fizycznego i moralnego głodu bolszewickiego Łazarza. Bezstronnemu obserwatorowi musi się wydać conajmniej dziwnem, że państwo tej miary co Polskie nie prowadzące wojny, posiadające węgiel, naftę, ogromną sieć kolejową i samowystarczające pod względem chleba, stoi ze swoją walutą znacznie niżej, niż Lotwa, Estonja, Litwa, pozbawiona najzupełniej bogactw naturalnych, i wojująca bez końca Grecja. Wyjaśnienie tej zagadki nie może nastąpić na drodze subiektywnych, zabarwionych często nacjonalistycznym wstrętem, a dlatego najczęściej ślepych i bezwzględnych zwalczających, jak również i sposobem oficjalnego

rządowego dochodzenia, w celu wyszukania winowajców i wymierzenia kary. Tylko obiektywne, czysto społeczne postawienie całej kwestji da nam możność z chaosu najróżnorodniejszych politycznych i ekonomicznych kombinacji, mało jeszcze uzgodnionych w dążeniu ogólnie państwowego celu — wyróżnić właśnie ten doskonały i celowo pracujący na obniżenie marki aparat. Przystępując do tego zadania, musimy przede wszystkim wydzielić dwie przyczyny charakteru ogólnego, ujemnie oddziaływujące na naszą walutę: najpierw napis — zrobiony na samej marce, że o wartości jej Sejm stanowić będzie jeszcze w nieokreślonej przyszłości, a powtórę potężne, lecz niechętnie dla nas wpływy międzynarodowego kapitału, dla którego obniżenie waluty opornego państwa jest najlepszym środkiem dla jego opanowania i eksploatacji. Widzieliśmy jednak, że polepszenie ekonomicznego i politycznego stanu jest doskonałym w tym wypadku obronnym środkiem i jednocześnie żadnego wpływu nie wywiera na aparat wewnętrzznego obniżenia wartości marki polskiej. Ponieważ fakt tego obniżenia jest powszechny i stały, musi on mieć niezawodnie szerokie i mocne podstawy w najelementarniejszych warunkach naszego życia ekonomicznego.

Ponieważ obecnie na rynku wszechświatowym, a więc i u nas, największe ekonomiczne znaczenie mają produkta rolne — jak zboże, tłuszcz, jaja, mięso i różne surowce — musimy przede wszystkim rozeejrzeć się w najbardziej podstawowych warunkach ich przejścia od producenta przez pośrednika do konsumenta. Przy najpobieżniejszej obserwacji widzimy na całej przestrzeni Rzeczypospolitej, z wyjątkiem do pewnego stopnia Wielkopolski i Pomorza, zdumiewający w swej systematyczności, sprawności i jednostajności sposób wykupywania od wiejskiego producenta — wyżej wymienionych produktów, za pomocą czynników działających tak celowo i zgodnie, jakby były członkami doskonale zorganizowanej i kierowanej instytucji. Można z pewnością powiedzieć, że na przestrzeni byłego austriackiego i rosyjskiego zaboru każdy zagon dojrzewającego zboża, każde drzewo rodzące owoce, krowa, dająca mięso, mleko i masło, kura znosząca jaja i t. d. — ma swego jakby przyrodzonego dozorcę i stróża, uzbrojonego w doskonałą znajomość miejscowych warunków, wyjątkową sprawność i cierpliwość, zupełny indyferentyzm polityczny i społeczny, przy wielkiem uświadomieniu w tych sprawach, i przede wszystkim w wielką ilość biletów markowych. W przeciwstawieniu do przedwojennych czasów, kiedy każdy pośrednik stanowczo dążył do nabycia towaru za możliwie najniższą cenę, najbardziej charakterystyczną cechą obecnego systemu jest ryczałtowe, niepomierne wysokie określenie pierwotnej ceny produktu. Tylko co zniesione jajko, lub funt zrobionego masła, sadło, wędlina, mięso i t. d. oznacza się zawsze prawie identyczną ilością dziesiątków i setek marek... Często zdumionemu i złe orientującemu się właścicielowi daje się bardzo proste i przekonujące wyjaśnienie, że marka dziś mała warta i niewiadomo, co jeszcze będzie w przyszłości... Sposób ten pomimo radykalnego usunięcia wszelkiej konkurencji, ma jeszcze i pedagogiczne znaczenie, wpływając na najbardziej pierwotne ukształtowanie ekonomicznych i politycznych nastrojów i poglądów. Zebrany w taki sposób na wsiach, na przedmiejskich drogach i na jarmarkach produkt, po pewnych manipulacjach zwiększających jego wagę i obje-

tość, wędruje przez szereg pośredników do rąk skwapliwie poszukującego konsumenta. Pierwotnie ryczałtowo podniesiona cena daje tu drugą korzyść, ponieważ mniejszy procent z wielkiej sumy daje więcej, niż wielki z małej. Tak jeśliby pierwotna cena masła pozostawała 50 marek za funt, jak to było latem 20 roku, to nawet 200% zysku dałoby tylko 120 marek; lecz jeśli pierwotna cena oznaczona została na 500 mk. za funt, to skromne 100% zysku daje pośrednikowi na tym samym funkcie 500 mk. zysku. Po raz trzeci początkowo wygórowana cena wiejskich produktów przynosi korzyść pośrednikowi w chwili, kiedy obywatel wiejski zechce nabyć potrzebne mu materiały na odzież, obuwie i wszelkiego rodzaju towary, idące z centrów przemysłowych i miast na wieś, przeważnie przy pośrednictwie tejże organizacji. Irytują go wyjątkowo wygórowane ceny, lecz musi się zgodzić, że jeśli za jaja i masło on bierze taką ilość marek, to i buty nie mogą być tanie i do otrzymanych za swe produkta pieniędzy musi najczęściej jeszcze dolożyć. Można przedstawić ogromną ilość faktów, wziętych bezpośrednio z natury — w rodzaju następującego:

Na jednej z najtardziej handlowych ulic miasta W. inteligent targuje mały wózek drew, za który właściciel żąda 3500 m. W czasie krótkiego targu podbiega typowy pośrednik z zapytaniem: „po czemu drwa?” i otrzymuje szorstką odpowiedź „5000 m”. Na robione przez inteligenta dalsze propozycje — pośrednik daje zwięzłą replikę: „8000 mk.” — zawraca konia, pociągając za sobą zrezygnowanego właściciela. Wyładowując wóz do tuż znajdującego się małego sklepu, przepelnionego małemi wiązkami drew, starą uprzężą, żelazem — włościanin upatrzył sobie chomonto z niewielką ilością starych rzemieni, za który właściciel sklepu zażądał 11,000 m. Po długich targach włościanin otrzymuje chomonto za 9000 mk. i do odebranych 8,000 z wielkiem rozgoryczeniem dodaje jeszcze 1000 m. Po ukończeniu sprawy można było obserwować trzy typowe twarze, wyrażające trzy zasadniczo różne nastroje... spokojną, obojętną, trochę pogardliwą twarz pośrednika, skrzywioną, wściekłą twarz inteligenta i zakłopotaną, zmartwiony wyraz włościanina, obliczającego resztki pozostałych w jego kieszeni 10 i 20 markówek. Fakt ten wyraźnie wskazuje, iż włościanin o tyle jest szczęśliwym posiadaczem wielkich stosunkowo ilości marek, o ile nie ma potrzeby lub nie chce zadowolnić swych szerszych wymagań. W chwili zaś kiedy zdecydował się na taką sprawę — traci cały zarobek z dodatkiem znacznej części skromnego zapasu. Ten charakter handlu na wsi jest tak powszechnym i uznanym, że pomimo nieustającego rozgoryczenia — nie wywołuje żadnego protestu. Nie mniej charakterystyczną jest błyskawiczna orientacja w miastach i najodleglejszych zakątkach prowincji w zmianach cen najróżnorodniejszych produktów, nadająca całej akcji wyraźnie zorganizowany i celowy charakter. W małych sklepach pod Warszawą, Radomiem lub na kresach możemy otrzymać identyczną dyskretną odpowiedź, że naprz. masło w większej ilości nie może być dziś sprzedane, bo nie przyszedł jeszcze telegram, określający jego cenę. Nie podlega wątpliwości, że te kierownicze wskazówki mogą iść tylko od miejsca skupienia zebranych na wsi towarów, t. j. od hurtowników, którzy z pewną częścią fabrykantów i przetwórców stanowią wyższą okręgową organizację, kierującą przepływem towaru jak od wsi

do miasta, tak i odwrotnie od miasta do wsi. Te prowincjonalne ugrupowania w własnym interesie łączą się niezawodnie w jedną centralną zorganizowaną całość, na czele której stoi nie wybrana lub naznaczona, lecz od urodzenia sukcesyjnie, utalentowana, zasobna, i przez wszystkich samorzutnie uznana grupa specjalistów-kierowników dla każdej gałęzi handlu i przemysłu. Pośród tej grupy wybrańców jest zapewne i najbardziej utalentowany, i posiadający faktyczne dowody swojego talentu w postaci odpowiednich ilości miliardów marek polskich—wódz. Mamy więc zupełnie wykończoną, oryginalną ekonomiczną organizację o szerokiej podstawie, opartej na dobrze zbudowanym i sumiennie wyzyskanym gruncie, to znaczy funkcjonariuszy sukcesyjnie uzdolnionych, dyscyplinowanych i sprawnych, nie potrzebujących ani opłaty ani wiktów, ponieważ wszelkiego rodzaju produktu bezpośrednio przechodzą przez ich ręce a stopień wynagrodzenia i ranga zależy jedynie od talentu i roztropności samego pracownika. Strajki i wiece nie mają tu miejsca i wszelkie socjalne zapędy i reformy zachwiać podstaw tej odżywiającej się gotowem sokami organizacji nie mogą. Przeciwnie, wszelkie socjalne wstrząśnienia i wojny, dezorganizując podstawowe masy narodowe tylko wzmacniają jeszcze więcej akcją tej razem z niemi złączonej, lecz praktycznie zorganizowanej warstwy. Ma ta organizacja i swój realny fond w postaci znacznej części miejskich posiadłości, akcji najbardziej procentujących przedsiębiorstw i banków, wreszcie wszelkiego rodzaju klejnotów i złota, wyłączna opieka nad którym oddawna wchodzi w zakres najświętszych obowiązków organizacji. Finanse i ekonomja polityczna mają tam wielu biegłych i utalentowanych przedstawicieli, którzy z naprężoną uwagą śledzą, by wszelkie finansowe zarządzenia państwowe i społeczne nie obeszły się bez ich udziału i wskazówek. I można z pewnością powiedzieć, że ruch finansowy państwa idzie często już z góry przygotowanym tożyskiem, które nigdy prawie nie omija samego centrum organizacji. Międzynarodowy kapitał ma w tej organizacji doskonałą podstawę dla swej działalności i dlatego popiera ją najmocniej swemi ekonomicznymi i politycznymi wpływami. Wspólna ich akcja, wyłącznie skierowana przeciw powstaniu silnej ekonomicznie i politycznie Polski, dąży do tego celu przede wszystkim za pomocą obniżania wartości marki polskiej szczególnie w stosunku do niemieckiej. W akcji tej wewnętrzna organizacja okazała się znacznie silniejszą, nie drgnęła nawet pod naciskiem bardziej pomyślniej dla Polski konjunktury politycznej, gdy międzynarodowy kapitał musiał markę polską znacznie wyżej ocenić.

(D. n.).

T. H.

W obronie tolerancji.

List do Redakcji.

W Nr. 4 czasopisma ilustrowanego „Świat“ z 28 stycznia 1922 r. ukazał się artykuł p. t. „Któs zbadał puszcze litewskich przepastne krainy“, w którym to artykule autor p. Stefan Krzywoszewski, odtwarzając swe myśliwskie i inne wspomnienia, dotknął między innymi kwestji o położeniu sądownictwa we wschodnich dzielnicach Polski. Według spostrzeżeń autora, instytucje sądowe pozostały jakoby głównie w rękach rosyjskich,

przyczem autor dochodzi do wniosku, że w ten sposób Rosjanie zachowali niepożądany wpływ na ludność białoruską i nawołuje, ażeby rząd jak najprędzej położył temu koniec, kierując się przede wszystkim osobistemi przymiotami kandydatów polskich, a nie ich dyplomami uniwersyteckimi i t. d.

Nie będę tu przytaczał ani faktów, ani cyfr. Gdyby kto zechciał poważnie zbadać tę sprawę, przekonałby się, że o wszechwładztwie rosyjskiem (*ruszkoje zasilje*) w sądownictwie polskiem na ziemiach wschodnich nawet mowy być nie może, że Rosjan jest tam bezwzględna mniejszość (z nich zaś wielu urodzonych na tych samych kresach wschodnich) i że, co najważniejsze, nie wywierają oni żadnego szkodliwego wpływu na miejscową ludność białoruską, oddając się uczciwie wyłącznie swej ciężkiej i niewdzięcznej pracy.

Wszystkich właściwości miejscowych, wszystkich nastrojów miejscowych nie zrozumiał autor, który widzi nieistniejące niebezpieczeństwo i który nawołuje rząd do uczynienia kroku, który, gdyby się urzeczywistnił, byłby ciężkim i zgubnym błędem.

Zrozumiały to i trafnie oceniły najlepsze światłe głowy i czyste serca Polski, które przy organizacji sądownictwa na kresach wschodnich dopuścili i przyjęły do niego prawników nie polskiej narodowości, t. j. tych, którzy wraz z niemi myślą tylko o tem, do tego tylko dążą, żeby wysoko trzymać sztandar sądu, w którym każdy upokorzony i pokrzywdzony, bez różnicy narodowości, znajdzie obronę i pomoc.

Prawnik - Kresowiec.

* * *

Autor listu powyżej wydrukowanego w sprawie dopuszczenia Rosjan do sądownictwa na kresach wychodzi słusznie z zasady równości obywateli Państwa Polskiego bez różnicy narodowości i religji. Jeżeli Rosjanin jest wiernym obywatelem Państwa Polskiego i posiada odpowiednie kwalifikacje, nie powinien być usuwany z urzędu i w sądownictwie i w innych dziedzinach tylko dlatego, że jest Rosjaninem i prawosławnym.

Artykuły Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, głoszące (art. 95 i 96), że obywatele są równi wobec prawa bez różnicy pochodzenia, narodowości, języka, rasy lub religji i że „urzędy publiczne są w równej mierze dla wszystkich dostępne na warunkach prawem przepisanych“, nie powinny być martwą literą lecz istotnym wyrazem tego ducha tolerancji, który panował w Rzeczypospolitej w dobie największego rozkwitu jej potęgi.

Powinniśmy oswoić się z myślą, że nie jesteśmy już narodem uciskany, który zmuszony jest myśleć przede wszystkim o obronie swoich praw narodowościowych, lecz znowu państwem, które ma obywateli różnych narodowości i które bez szkody dla siebie nie może gwałcić zasady równości wobec prawa.

Metody stosowane do nas przez zaborców—Rosję carską i Niemcy cesarskie — nie mogą służyć wzorem dla nas i nie powinniśmy Rosjan i Niemców w obrębie państwa naszego traktować tak, jak nas dawniej Niemcy i Rosjanie traktowali. I to bynajmniej nie ze względów jakiegoś wyż-

szego altruizmu, który, niestety, nie ma zastosowania w polityce, ale raczej przez wzgląd na rozumną politykę państwową. Los bowiem państw zaborczych właśnie świadczy o zgubnych następstwach nacjonalizmu.

Nacjonalizm niemiecki zmusił świat cały do wojny celem złamania potęgi Niemiec, nacjonalizm rosyjski doprowadził do katastrofy wewnętrznej. I o tem jeszcze winniśmy pamiętać, że hołdując zasadom nacjonalizmu w naszej polityce kresowej, możemy obudzić przeciwko nam taką nienawiść, jaką budziły Niemcy i Rosja, ale nie osiągniemy nigdy tej siły, jaką one posiadały. Nasza siła może polegać tylko na dobrowolnem ciężeniu ku nam sąsiednich narodów.

Jeden z czytelników naszych, oburzony naszymi uwagami w sprawie cerkwi prawosławnych na kresach w Nr. 7 „Tygodnia P.“, nazywa brońoną przez nas zasadę tolerancji „tolerancją berlińsko-petersburską, biorącą zawsze w obronę wilka przed baranem“. Myli się stanowczo, bo nasza tolerancja odpowiada najlepszym tradycjom dawnej Rzeczypospolitej i najszczytniejszym ideałom przez naszą wielką literaturę głoszonym, w Petersburgu zaś i Berlinie czerpią natchnienia ci, którzy chcą dziś na kresach polityki odwie tu. Nie mamy tu na myśli bynajmniej pana Stefana Krzywoszewskiego, który obawia się wpływów rosyjskich na Białorusinów, ale właśnie wspomnianego wyżej czytelnika naszego, który uważa za sprawiedliwe, aby wszystkie kościoły katolickie, zamienione na cerkwie, znów zostały przerobione na kościoły, nie zważając na to, czy ludność w danej okolicy jest dziś prawosławną, czy katolicką.

Czytelnik ów pisze: „Wszak nie idzie tu o zabranie choćby jednej tylko cerkwi prawosławnej, za pieniądze prawosławnych parafjan wystawionej, ale o odebranie kościołów katolickich przez rząd moskiewski, wśród morza krwi i łez zagrabionych i na cerkwie pozamienianych. Czyż by zasada prawna, od czasów rzymskich po dziś dzień głoszona, „suum cuique“ była redakcją „Tyg. Polskiego“ nieznaną? Zasada „suum cuique“, śmiemy zapewnić, jest nam dobrze znaną i dlatego właśnie uważamy, że dzisiejsza ludność prawosławna białoruska nie może odpowiadać za czyny rządu rosyjskiego, który kiedyś przemocą nawracał ją na prawosławie. Dziś może ona, jeżeli chce, wrócić do religii katolickiej i jeżeli ona zechce, aby cerkiew parafjalna znów została zamienioną na kościół, to wszystko będzie w porządku. Ale siłą odbierać od parafji prawosławnej kościoły, w którym od kilku pokoleń już modlić się przyzwyczaiła, to nie jest zgodnem ani ze sprawiedliwością, ani z rozumną polityką państwową. To mieliśmy na myśli, protestując przeciwko odbieraniu cerkwi prawosławnych.

DYSKUSJA O ODBUDOWIE ROSJI.

Wę śróde 1-go marca w Polskiem Towarzystwie Wschodniem odbyła się nadzwyczaj, ciekawa dyskusja na aktualny temat odbudowy Rosji, którą zagał prezes Zarządu Tow. Wschodniego p. Aleksander Lednicki i w której wzięł udział licznym zgromadzeniu znawcy stosunków ekonomicznych w Rosji, polacy zajmujący przed rewolucją kierownicze stanowiska w przemyśle i handlu rosyjskiem. Przemawiali: p. Maciej Rogowski, konsul Wertheim, W. Koziell-Poklewski, Józef Ewert, S. Wróblewski, A. Słaboszewicz, Karpowicz, E. Kątkowski, Gustaw Rozenblum.

Nie będziemy tu streszczać dłuższego przemówienia, którem zagał dyskusję przewodniczący zebrania, gdyż w przemówieniu tem p. Lednicki rozwijał i uzupełniał tezy, znane już naszym czytelnikom z artykułu p. Lednickiego „Polska i odbudowa Rosji“ (w Nr. 9 „Tygodnia“). Zaznaczyć jednak należy, że mając przed sobą audytorjum, złożone z polaków, którzy wrócili z Rosji, gdzie brali czynny udział w życiu przemysłowym, prelegent ujął zagadnienie w formie więcej praktycznej i konkretnej, stawiając przed zebranymi pytanie, czy mają znów jechać do Rosji i co w niej robić mają? Czy mamy prawo jechać do Rosji i oddawać na korzyść obcego kraju, swoje siły, talenty organizacyjne, wiedzę i doświadczenie, wówczas gdy tego wszystkiego wymaga nasz własny kraj? Przytem należy i to jeszcze wziąć pod uwagę, że polacy, reprezentując nie kapitał, lecz pracę, będą w Rosji pracowali nad wzmocnieniem obcego kapitału, otóż powstaje pytanie, jaki to będzie kapitał, czy nie będzie to kapitał wrogi wobec Polski?

Zastanawiając się nad temi zagadnieniami, p. Lednicki przychodzi do wniosku, że Polska nie mając kapitału na wywóz, może oddawać pracowników dla dzieła odbudowy Rosji o tyle tylko, o ile ma nadmiar tych pracowników i o ile kapitał, któremu polacy drogę do Rosji torować będą, nie jest wrogiem Polsce, pożądana jest przede wszystkim kooperacja z kapitałem francuskim.

Zagadnienie to udziału polaków w odbudowie Rosji, poruszone głęboko i szczerze wywołało bardzo ożywioną wymianę myśli. Większość mówców podzielało zasadniczy punkt widzenia prelegenta, że Polska nie może odegrywać samodzielnej i znacznej roli w odbudowie Rosji, z wyjątkiem ziem dawniej należących do Rzeczypospolitej, w których Polski stan posiadania był i powinien pozostać bardzo znacznym, na co zwracał szczególną uwagę p. Maciej Rogowski. Konsul Wertheim na podstawie wieloletniego doświadczenia potwierdzał wywody prelegenta, p. Józef Ewert w sceptycznej ocenie roli Polski w odbudowie Rosji w obecnych warunkach poszedł jeszcze dalej, zaznaczając, że Rosja dla odbudowy swej wymaga właśnie tych materiałów i produktów, których właśnie nie może Polska dać, polski przemysł bowiem wytwarza nie dla produkcji, a dla konsumpcji, dlatego i Polska dotychczas nie jest odbudowaną. Co się zaś tyczy handlu produktami konsumpcji, to tu stoi na przeszkodzie brak środków płatniczych: czem Rosja będzie płaciła za polskie towary?

P. Kątkowski nie podziela zdania prelegenta, że przez Polskę prowadzi najkrótsza droga z Zachodu do Rosji, wskazując na fakty, na które zwraca też uwagę i p. A. Ringman w powyżej wydrukowanym artykule „Handel z Rosją“. Inni mówcy znajdowali, że polacy, którzy pracowali w Rosji, powinni jechać znów do Rosji na swe dawne stanowiska i że tam praca ich nie przepadnie i dla Polski, w której teraz nie znajdują zastosowania dla swoich sił.

Dyr. Wróblewski, z założenia że Polska nie może przyswoić bez rynku rosyjskiego, przychodzi do

wniosku, że Polska musi znaleźć środki i drogi do pracy nad odbudową Rosji.

P. Rosenblum, zapatrujący się bardzo optymistycznie na Konferencję Genuęską, zarzucał prelegentowi zbyt pesymizm w ocenie sytuacji Polski, jej sił i roli w odbudowie Rosji.

Dyrektor Karpowicz wystąpił z konkretnym wnioskiem tworzenia na polskim terenie z udziałem zagranicznych kapitałów wielkich kooperatyw mających na celu odbudowę Rosji, poczynając od odbudowy kresów polskich.

P. Lednicki odpowiadając na poszczególne zarzuty i reasumując wogóle sprzeczne poglądy wypowiedziane w dyskusji, zaznaczył że rozbieżne zdania sprowadzają się do dwóch zasadniczo sprzecznych kierunków, które ścierają się w dziejach Polski: idea polityki i gospodarki ekstensywnej walczy z ideą gospodarki i polityki intensywnej. Polska poszła drogą gospodarki ekstensywnej, drogę ekspansji zewnętrznej zaniedbując, pracę nad rozwojem intensywnej gospodarki i wzniesieniem placówek wewnętrznych.

Oto i dziś przed Polską stoi wielkie pytanie, czy nie powinna wzmocnić się wewnętrznie wprzód nim myśleć o ekspansji na zewnątrz? Do tego właśnie, do intensyfikacji życia polskiego nawoływał prelegent i większość, trzeba przyznać, była po jego stronie.

Przed Konferencją w Genui.

(List z Paryża).

Konferencja w Genui przygotowana jest już dziś przez liczne spotkania się dyplomatów, przez opracowywanie kwestji, mających być na nią wniesionych. W tym okresie przedwstępnym wzmożła się sytuacja międzynarodowa Francji. Wzmogła się przez uznanie zasady, że na konferencji nie będzie dyskutowana ani kwestja odszkodowań, co ściślej znaczy, że Traktat Wersalski nie może być poddany rewizji; wzmogła się również przez to, że Anglja postanowiła zbliżyć się do Francji na nowo, co Francję wyprowadziło z chwilowej politycznej izolacji. Można powiedzieć, że kryzys izolacyjny już minął.

Na Anglję podziałała niewątpliwie wyraźna chęć bolszewików do porozumienia się z Francją oraz usiłowania *Petite Ententy* do podpisania z Francją przymierza.

Prasa zachodnia w licznych artykułach zapewniała nawet, że porozumienie z bolszewikami już nastąpiło, prasa zaś francuska podała szczególnie sojuszu z *Petite Ententą*.

O ile to ostatnie okazało się, naszym zdaniem, o tyle tylko nieprawdziwe, że przedwczesne, o tyle wiadomość nie już o porozumieniu, ale o bezpośrednim porozumiewaniu się bolszewików z Francją, uważamy za niemożliwe i wykluczone.

Bolszewicy, pragnąc otrzymać międzynarodowe uznanie na konferencji genueńskiej, pra-

gnęli ku temu przygotować, jeśli nie grunt, to nastrój.

Nie w innym celu z pewnością wyjechał Radek do Berlina i zaaranżował interwjuwy, które fałszywie zorjentowały opinię publiczną. Skoro na łamach *Matina* posypały się interwjuwy Radka, powstały hipotezy, że zanosi się na jakieś porozumienie z rządem francuskim. Tymczasem druga, prostsza hipoteza nie przychodziła nikomu do głowy, że pismo o wielkiej skali informacyjnej, jakim jest *Matin* skorzystało poprostu z pobytu Radka w Berlinie, nie chcąc zaś, aby sądzono, że uprawia jakąkolwiek w tym kierunku politykę, dawało jednocześnie artykuły i interwjuwy, wymierzone przeciw bolszewikom, neutralizujące zupełnie to, co w ich interesie Radek mówił.

Polityka, zresztą Poincarego daleka jest od jakichkolwiek niekonsekwencji i nieprzezorności. Z poprawnością akademicką, którą wprowadza w świat dyplomatyczny, łączy on nadzwyczajną finezję, nie wypaczającą w niczem bardzo jasnej linii jego postępowania.

Dzięki temu osiągnął to czego nie potrafił osiągnąć jego, unoszący się fantazją, poprzednik: wzmocnił międzynarodowe położenie Francji i nie odstąpił w niczem od jej zasadniczych postulatów.

A. R.

Towarzystwo Polsko-Węgierskie.

W poniedziałek 27-go lutego odbyło się w lokalu Polsko-Węgierskiej Izby Handlowej organizacyjne Zebranie Towarzystwa Polsko-Węgierskiego. Zebranie otworzył prezes Polsko-Węgierskiej Izby Handlowej p. Tołłoczko. Poczem powołany na przewodniczącego, jeden z inicjatorów Towarzystwa p. Ludwik Kulczycki udzielił słowa prof. Adorjanowi Divékiemu, który w treściwym referacie uwypuklił wspólność interesów i sympatje wzajemne, jakie łączyły w przeszłości narody polski i węgierski. Następnie p. Ludwik Kulczycki mówił o aktualnem znaczeniu i politycznej doniosłości polsko-węgierskiego zbliżenia, podkreślając przytem, że sojusz polsko-węgierski bynajmniej nie jest w sprzeczności z sojuszem z Francją, który jest podstawą naszej polityki zagranicznej.

Red. Leon Kozłowski mówił o misji cywilizacyjnej, która łączyła w przeszłości i łączy dziś oba narody: w przyszłości nią była obrona cywilizacji Zachodniej przed nawałą turecką, dziś przed niebezpieczeństwem bolszewickiem. Przemawiali jeszcze p.p. Drozdowski, Ziemia i p. Ciechanowska.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA MŁODEJ IRLANDJI.

LORD DUNSANY.

Irlandzkie odrodzenie literackie było i pozostaje nadal jednym z najciekawszych zjawisk we wszechświatowym piśmiennictwie ostatniego ćwierćwiecza. Od pierwszych wystąpień Yeats'a, poczytanego słusznie za inicjatora ruchu, gdyż impuls we wszystkich kierunkach wyszedł istotnie od niego, dzięki magnetycznej atrakcji jego niezmożonego entuzjazmu, — ruch ten wydał najszczerzą, najszlachetniejszą poezję i najbardziej samoistną produkcję dramatyczną, jakimi może poszczycić się w tym okresie literatura języka angielskiego. Naokół trzech dominujących postaci — samego Yeats'a, Jerzego Russell'a (piszącego pod pseudonimem A. E.), który, góruje nad wszystkimi swymi współczesnymi przeczystem promienianiem ekstazy duchowej, wreszcie J. M. Synge'a, którego krótka twórczość dała teatrowi irlandzkiemu najcenniejsze klejnoty i zbudowała właściwie jego podstawy, skupiły się całe zastępy poetów i pisarzy, którzy, krocząc w swych urzeczywistnieniach różnemi drogami, sięgali do wspólnych źródeł kultury ojczyźnej i czerpali z wspólnego skarbcza dalekiej tradycji celtyckiej. Ich twórczość nie była bynajmniej zawsze specyficznie irlandzką. Ale przenika ją wspólny prąd wyobraźni; wyrosła ze wspólnego poczucia odrębności narodowej. Nie było w niej ścierania się przeciwnych lub wręcz nawet wrogich sobie wzajemnie dążeń i ideałów, w czem zresztą tkwiłoby na dłuższą metę pewne niebezpieczeństwo.

Jak ruch gaelicki w swym całokształcie trafił do wszystkich warstw społecznych, podobnie objęło je wszystkie odrodzenie literackie — wszystkie, poczynając od chłopca, jak Padraic Pearce¹⁾, kończąc na rodowym arystokracie, jak Edward John Moreton Drax Plunkett, 18-ty baron Dunsany. Wychowanek Etonu, przez czas jakiś oficer gwardji, Dunsany jest jednym z najoryginalniejszych talentów. Stworzył własną mitologję, świadczącą o zupełnie niepospolitem bogactwie i samorzutności wyobraźni. Zwróciwszy się następnie do noweli, kroczy w niej w kierunku pokrewnym poniekąd twórczości Villiers de l'Isle Adam'a, Edgara Poe i celującego, jak ten ostatni, w wydobywaniu uczucia grozy Ambrożego Bierce'a, nadając jej jednak charakter bardzo osobisty. Wreszcie, w produkcji teatralnej ma za sobą szereg utworów, ujawniających wybitny zmysł dramatyczny.

Gdy współcześni Dunsany'ego szukają pierwiastków odżywczych w legendzie celtyckiej, jemu samemu nie wystarcza skąpanie się w jej źródłach. Stwarza nowy cykl mitów i nową hierarchję bogów, starszych od bogów Olimpu, których przedstawia nam w niewielkiej książce p. t. *The Gods of Pegana* (1905), a którym każe stanowić o śmierci i życiu, rzucić w przestrzeń słońca i światy i sprawo-

wać nad nimi rządy. W samych już ich imionach tkwi dziwna suggestja, a większą jeszcze jest suggestja samej baśni, wyrosłej z fantazji, która wysnuwa swe czary z tak wielką swobodą i bezpośredniością, że na razie ma się niemal wrażenie, jak gdyby wszystko tryskało tu żywiolowo z tajnych głębi wyobraźni. Ale wnet narzuca się uwadze wewnętrzna logika tej wyobraźni, uzasadniająca szczegóły i budująca planowo i konsekwentnie gmach swych marzeń. Mitologja Dunsany'ego jest już świadectwem tych zdolności konstrukcyjnych, którym jego dobytek sceniczny zawdzięcza niektóre z najtrwalszych swych wartości.

Światy bogów Pegany powstały w orbicie Czasu. On sam jest również ich dziełem, tem jednak, które, służąc z jednej strony ich celom, zużywa z drugiej, powoli i nieubłaganie, wszystko, co zbudowała ich moc twórcza. Nie oszczędzi prędzej czy później ich samych. Dunsany pokazuje wyniki jego akcji w opowieściach, stanowiących przedmiot jego następnej książki *Time and the Gods*. Bogowie ukochali nadewszystko przepiękny gród Sardathrion i uczynili z niego swój ulubiony przybytek. Ale Czas czyha i na tę pastwę i gdy bogowie przekonani już są niezłomnie, że ich cudna siedziba trwać będzie wiecznie, burzy ją zdradziecko. Nic nie zdoła go ujarzmić. Znajdzie się jednak zuchwalec¹⁾, rojący o tem i wyruszający na czele swych wojsk na jego podbój. Długo kroczą po przez ruiny i ślady zniszczenia, świadczące wymownie, że twarda dłoń tego najgroźniejszego z wrogów zaciążyła tu nad wszystkim. Ale oto i samo siedlisko Czasu, skąd śle wszędy śmierć i zagładę. Wszędzie stopy rumowisk, wszystko wali się w gruzy, na wszystkim osiadła pleśń wieków, wszystko mówi o rzeczach niepowrotnie minionych, pogrzebanych na zawsze w grobie zapomnienia. I podczas gdy wojska króla Alatty oblegają warownię Czasu, każdy dzień spędzony pod jej murami znaczy nowy moment ich nieuniknionej porażki. Ucieka młodość, zeszywniałe członki odmawiają posłuszeństwa, słabną siły, siwizna srebrzy szronem głowy. Świadom wreszcie swej bezsilności wobec wszechmocy przeciwnika, król Karnith-Lo daje swojej starczej już teraz armji sygnał do odwrotu. Gdy jednak nieszczęśliwi wojownicy docierają wreszcie, po ciężkich trudach i znojach, do rodzimej Alatty, spragnieni wdoku swych żon, matek, kochanek, znajdują już tylko zgrzybiałe staruszki, pokryte siecią zmarszczek. Nie poznają ich — nie poznają się wzajem. Podczas gdy wyruszyli jak oblężeni na jego podbój, Czas zwyciężył ich w ich własnym grodzie i wziął go w posiadanie.

Przemijające trwanie rzeczy, próżność ludzkich poczynań wobec sprzymierzonych przeciw nim potęg natury i czasu będzie niejednokrotnie centralnym punktem rozmyślań Dunsany'ego.

Bogowie Pegany tworzą światy „zasiadłszy w pośrodku Czasu”. Czas, przynajmniej w tym okresie twórczości Dunsany'ego, zasiadł w pośrodku jego rozważań, z całą tajemniczą grozą swych podstępów, zasadzek i zaczajów. Znikł za jego zrządzeniem przybytek bogów, znikną różne inne jeszcze grody, a między nimi dwa jakby

¹⁾ Pearce pisał po gaelicku.

¹⁾ W opowieści p. t. *In the Land of Time*.

wyjęte z czarodziejskiej bajki, ku którym ciągnęły roje pielgrzymów, żadne oglądać ich cuda. Jedna krótka chwila, jedno mgnienie i zagał już wszelki ślad po nich, a olbrzymie mogiły nakrył całunem lotny piasek pustyni.

Fantasmagoryczne obrazy tych przedziwnych grodów nie należą już właściwie do cyklu mitologicznego, ale związane są z nim ściśle. Bo choć jesteśmy już na pozór między ludźmi z krwi i ciała, pozostajemy nadal w dziedzinie legendy i baśni. Nie skarżmy się zresztą na to. Utwory tej kategorii należą do najprzedniejszych produkcji Dunsany'ego. Wszystko kojarzy się w nich w doskonałą całość, o której suche streszczenie rzeczy dać może, niestety, bardzo słabe pojęcie. Nic bowiem nie zdoła wypowiedzieć czaru prozy, w którą autor przyobleka te fikcje, a która jest tu czynnikiem pierwszorzędnej wagi. Organicznie wprost zrosła z treścią, układa się z nieźrównaną gętkością w rytm myśli, oddaje jej najsubtelniejsze odcienie, wprowadza we właściwą atmosferę i odtwarza nastrój. Ze szczególną też siłą konkretyzuje niejako wrażenia, przyoblekając wzięte wyobraźni w widzialne kształty. Porównywano ją z prozą De Quincey'a — zestawienie o tyle słuszne, o ile chodzi o gatunkową wartość, w jednym bowiem i drugim wypadku mamy jednakowo do czynienia z najpiękniejszymi wzorami prozy poetyckiej. Ale u De Quincey'a jest to przedewszystkiem — przynajmniej w najlepszych swych momentach — proza plomiennych uniesień lirycznych, u Dunsany'ego proza opisowa i naratywna. I jakkolwiek wiedzie czytelnika śladem fantazji autora w świat bajki i marzenia, rozsnuwa jednak tok swój w całkowicie inny, niż u De Quincey'a sposób.

Wraz z utworami wyrosłymi z tejże inspiracji, co jego mitologia, daje Dunsany w drugim okresie swej twórczości obfitą produkcję nowelistyczną o innym już charakterze. Wszystko to razem — legendy, maryl i opowieści, tworzy kilka tomów. Serją ich otwiera *The Sword of Welleran* (1908), po którym przychodzą *The Book of Wonder*, *A Dreamer's Tales*, *Tales of Wonder*, inne jeszcze. Same tytuły wskazują, jak dużą rolę odgrywa tu marzenie. Ale współrzędnie z niem wypełniają wyobraźnię pisarza fantastyczne wizje, które wprowadzają do całego szeregu utworów postaci, nękające jak zmora i przygody, których ewokacja mrozi krew w żyłach i przeszywa długim dreszczem zgrozy. Dunsany celuje w umiętność wywoływania go, ale wielu z jego zwolenników stawiać zawsze będzie wyżej nad to szarpanie nerwami, choć by nawet otrzymywane za pomocą najbardziej mistrzowskich środków, pogodniejsze wloty tej przebogatej fantazji.

Niepoślednie miejsce w tym tak różnorodnym dobytku zajmuje twórczość sceniczna. Jak zaznaczyliśmy to już na wstępie, Dunsany posiada wybitny zmysł dramatyczny i uświadamia sobie dokładnie wymagania sceny. To też w najlepszych ze swych utworów teatralnych jest jednym z najgodniejszych następców Synge'a, jakkolwiek dąży w innym niż on kierunku. Tradycję Synge'a podjął w pewnej mierze Padraic Colum; Dunsany najbliższym jest tradycji Yeats'a, górując jednak nad nim subtelnością zrozumieniem potrzeb i nakazów sceny. Nie znaczy to atoli, by skłonny był wogóle do ustępstw na rzecz utartych konwencji

teatralnych. Ale pozostając wiernym swym cełom artystycznym, umle stworzyć silne napięcie dramatyczne i doprowadzić do niego logicznie. To też większość jego sztuk spotkała się z nie-małym powodzeniem nie tylko na scenie *Abbey Theatre* dublińskiego, nie tylko w Londynie i kilku większych miastach Anglii, ale również i może nadewszystko w Ameryce, gdzie wogóle zyskały rozgłos wcześniej, niż w swej ojczyźnie.

Pozostaje Dunsany w tej produkcji nawskroś sobą i, licząc się z koniecznościami sceny, nie porzuca swych światów fantazji i baśni. *Sztuki bogów i ludzi* (*Plays of Gods and Men*) — taki tytuł nadaje drugiemu tomowi swych utworów teatralnych; można by go było jednak nadać całej jego twórczości w tej dziedzinie. Bo bogowie schodzą między ludzi i w pierwszym tomie, i to w najoryginalniejszej bodaj z zawartych w nim sztuce: *The Gods of the Mountain*. Najbardziej też może bliskiej w charakterze do zasadniczego typu twórczości pisarza. Sześciu żebraków i jeden złodziej zasiadają w tradycyjalnej pozie kamiennych bogów, sprawujących ze szczytów góry rząd nad tłumem swych zelatorów, w nadziei że łatwowierność ludzka weźmie ich za tych bogów zeszyłych wpośród swych wiernych. I istotnie, sceptyczny w początku wobec nich nastrój, słabnie stopniowo. Ale, niestety, do duszy żebraków zakrada się jednocześnie niepokój. Boją się, by nie sprawdzono, że bogowie wciąż spoglądają na mrowie ludzkie ze szczytu góry. Ktoś ciekawy atoli stwierdza co innego: bogowie zniknęli. A ktoś inny widział to straszne, dziwne zjawisko: kamienie poruszające się w cieniach nocy. W rzeczywistości bogowie opuścili swój przybytek, ażeby ukarać świętokradców. A karzą ich, zamieniając ich w kamień. I gdy wierni przybywają składać hołdy uzurpatorom, wyrzucają sobie, że mogli wątpić o ich boskości.

Nie mniejsze wrażenie wywiera w przejmującej grozie swych efektów jednoaktówka p. t. *Noc w oberży* (*A Night at an Inn*). Tu również zjawi się kamienne bóstwo. Przyjdzie w nocy do samotnej oberży, ścigając awanturników, którzy ukradli zdobiący je klejnot cenny, a gdy go im odebrało, wywołuje okropnym głosem jednego za drugim na pustkowie, gdzie poniosą straszną karę za swą przewinę.

Fantazji Dunsany'ego towarzyszy pokaźna doza ironii i sceptycyzmu, zabarwiająca humorem zarówno jego opowieści, jak produkcję teatralną. Nawskroś przenika ona jego pierwszą sztukę (*The glittering Gate*), pokazującą dwóch umarłych złodziei i włamywaczy przed podwojami Nieznanego. Nie brak humoru również w sztuce następnej *Król Argimenes i nieznaną wojownik*, z jej wysoce trafnym obrazowaniem psychologii panów i niewolników. Najsłabsze nawet z utworów dramatycznych Dunsany'ego zawdzięczają mu różne szczęśliwe momenty. Nie wszystkie bowiem posiadają jednakowo wybitne zalety sceniczne. Ale we wszystkich, tak samo jak w całej twórczości pisarza, uderza ich niepospolita wartość literacka. Podobnie jak dobytek Synge'a i Yeate'a, sztuki Dunsany'ego są teatrem poezji i piękna.

M. R.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

✻ Józef Ujejski. „Antoni Malczewski“ (Poeta i poemat). Warszawa 1921. Nakładem księgarni Trzaska, Evert i Michalski; str. 488 in 8-o. — Antoni Malczewski spłatał swoim przyszłym biografom mimowolnego figla: nie tylko nie miał poczucia, iż stworzył arcydzieło narodowe, ale tak mało przywiązywał wagi do szczegółów własnego życia, że nie pozostawił ani pamiętników, ani listów, ani żadnych „papierów“, któreby stać się mogły rozkosznym żerem dla „przyczynkowiczów“. „Byli oni skazani przeważnie na relacje, i to zwykle bardzo późne, świadków poszczególnych okresów czy momentów życia poety, najczęściej nawet już na relacje relacji, streszczenia opowiadań cudzych“. Taki charakter miał najdawniejszy żywot Malczewskiego, napisany przez Augusta Bielowskiego w r. 1833; również na cudzych opowiadaniach snuto dalsze uzupełnienia biograficzne, dość zresztą wątle. Materiału obiektywnego zebrano bardzo mało: kilka autentycznych listów, kilka dokumentów urzędowych i — na tem koniec.

To też napisanie monografii o pięciuset niemal stronicach, z których połowę przynajmniej zajmuje życiorys Malczewskiego, było przedsięwzięciem po hośickowsku odważnem. Pracy tej dokonał jeden z najpoważniejszych naszych badaczy literatury, Józef Ujejski. Autor zdaje sobie sprawę, że będzie biografem zgoła subiektywnym. „Zmuszony przeważnie tylko odgadywać, domyślać się nieujawnionych wszędzie źródeł wewnętrznych i pobudek czynów i myśli poety w różnych okresach jego życia, będzie to czynił najczęściej na podstawie tego ogólnego pojęcia o nim, jakie sobie wyrobi, wizerunku duchowego, który sobie sam stworzy“. Taka zapowiedź nie ma w sobie nic przerażającego, bo np. szkic St. Wasylewskiego „O poruczniku Malczewskim“ czyta się jak przemiłą nowelę i wcale się przytem nie troszczymy o prawdę *obiektywną* wizerunku poety. Gorzej jest, gdy biografowie karmią nas dymysłami w stylu p. Hoesicka. Ujejski opowiada może wiele rzeczy zbędnych, ale naogół jest biografem sumiennym. Stosunki poety z p. Rucińską i ostatnie chwile jego życia małuje dość wyraziście, po raz pierwszy w biografjach Malczewskiego z taką pełnią szczegółów. W całości jednak portret pozostaje takim, jakim był dotychczas tj. niepewnym. Ujejski z całą skromnością badacza stwierdza: „Ostatecznie więc, mimo wznowionych poszukiwań, możemy w siedemdziesiąt sześć lat po Goszczyńskim powtórzyć jego słowa: „jedyny dzisiaj klucz do głębszych tajników bytu poety i jego istoty — to *Marja*“.

Szukając właśnie w „Marji“ syntezy człowieka i artysty, Ujejski rozważa ten poemat wielostronnie. Jako wstęp do szczegółowej analizy, rozwija autor dość ciekawie filozofję Malczewskiego na tle epoki, w której poeta żył. Potem otrzymujemy, w układzie cokolwiek profesorskim i szablonowym, rozczłonkowanie *Marji* na poszczególne ogniwa: kompozycja utworu, postacie (Wacław, Marja, Wojewoda, Miecznik, Kozak) styl, nastroje, rytmika. W rozważaniach stylu Malczewskiego odsłania autor wiele szczegółów pierwszorzędnej wagi. Spojrzawszy na *Marję* pod kątem widzenia historyczno-literackiem i zbierając razem to, co ona w rodzaju i technice, w treści i formie wnosi nowego do historii naszej poezji, Ujejski stwierdza, że: „Marja jest pierwszą u nas powieścią poetycką w rodzaju Byrona i jedno-

cześnie pierwszą też w najcharakterystyczniejszym rodzaju Waltera Scotta; Malczewski sam jeden z poetów romantycznych nie był „z Mickiewicza“; był tylko sam z siebie i częściowo także z tych obcych, z których *częściowo* był także i sam Mickiewicz. „Marja“ i bez *Ballad*, bez *Dziadów* i bez *Grażyny* nawet byłaby tem czem jest. „Blady — jak błysk od gromnic, co mu na twarz wbiega, smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega“ — stoi w literaturze polskiej autor „Marji“ samotnie, jak kiedy ją tworzył, w odosobnieniu od innych — dumnym i zarazem bolesnym“.

Księga Ujejskiego wyczerpuje temat na długie lata, bo zginęły już nadzieje nowych przyczynków życiorysowych. Szkoda tylko, że wydrukowana została na nędznym papierze, który nie przetrwa dwóch pokoleń. A warta była lepszej opieki wydawniczej, bo jest owocem długiej, cierpliwej i poważnej pracy.

✻ Witold Bunikiewicz. „Stanisław Lentz“. Warszawa. 1922. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“, str. 46 w 12-ce. — W. Bunikiewicz, jeden z najczujniejszych i najlepiej uzbrojonych krytyków naszej sztuki plastycznej, przygotował syntetyczny wizerunek zmarłego niedawno Stanisława Lentza. Monografii takiej, ujawniającej znaczenie Lentza w dziejach polskiego malarstwa nowoczesnego, brakło oddawna. Bunikiewicz nie jest ani apologetą, ani specjalnym wielbicielem talentu Lentza, ale zdaje sobie wybornie sprawę z jego zastug i z wysokich walorów jego twórczości. Stwierdza, że sztuka jego „nie ogranicza się wyłącznie do wysokich zalet artystycznych, ale utrwała w sposób jedyny całą warstwę społeczną, zaspokajając jej smak estetyczny i potrzebę artystyczną“. Jest i pozostanie dokumentem epoki, dokumentem trwalszym, niż niejedna historia obyczajów. „Tem, czem Franciszek Hals był dla Haarlemu, Velasquez dla dworu Habsburgów, Menzel dla Berlina a Rodakowski dla galicyjskiej szlachty, tem stał się Stanisław Lentz dla mieszczaństwa warszawskiego“. Rozwój talentu Lentza rozpatruje Bunikiewicz na tle rozwoju wielkiej sztuki malarskiej, a w szczególności portretowej w Europie. W ten sposób uwydatnia wszystkie filjacje i odrębność Lentza, podkreślając zwłaszcza świetne cechy jego karykatur i wykazując, jak wątlymi węzłami spojona jest twórczość Lentza z malarstwem holenderskiem, wbrew utartym w naszej krytyce malarskiej zapewnieniom. „Malarstwo holenderskie w ciągu długiego swego bytowania nie odważyło się nigdy na inny ton, jak tylko na opiewanie bezwzględnej prawdy i niczego więcej prócz prawdy, tak, jak się przejawia w życiu. Sztuka zaś monachijska z epoki poromantycznej, w chwili, gdy Lenbach i Leibl zagospodarowali się nad Izarą, nie ogranicza się do stwierdzenia rzeczywistości, lecz wyciąga wnioski z nagiej prawdy i sięga do wieczystych uogólnień. Taką też jest twórczość Lentza“, którą wyniósł ze szkoły monachijskiej i pozostał jej wierny, pomimo wszelkich złudnych pozorów i osobistych marzeń twórcy „Wilków morskich“.

Niemniej subtelnie i głęboko uwypukla Bunikiewicz stanowisko Lentza we współczesnem malarstwie polskiem. Twórczość jego „nie była burzycielską, nie wprowadziła nowych pojęć, ale dawne rozwijała świetnie i utrzymywała ciągłość wielkich epok malarskich“.

Praca Bunikiewicza jest świadectwem wysokiej kultury artystycznej i wybitnej dojrzałości sądu, jeżeli zwłaszcza weźmiemy pod uwagę osobiste zamiłowania artystyczne autora, ku nowym prądom w sztuce zmierzające.

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.

ORNAMENT.

II.

2. *Aryjczycy.* Ten drugi, północny prąd, błędnący w kierunku osi indogermańskiej, idącej między Europą i Azją ukośnie z północnych Niemiec ku Indjom i krzyżujący się z pierwszym prądem w krainie Saków, można również obserwować w dziedzinie ornamentu najwyraźniej wtedy, gdy się za punkt wyjścia weźmie wyroby Gotów i Longobardów na gruncie włoskim. Niema wątpliwości, że ludy te przyniosły z północnego wschodu swoje artystyczne poczucie. Przeciwwstawia się ono wszelkim wpływom starożytnym i bizantyjskim, jakie zastało na zdobytym gruncie, i panuje przez szereg stuleci tak wyłącznie, iż jego zabytków nikt, podróżując po Włoszech, przeoczyć nie może. Chodzi tu raczej o zaopatrzenie dawnych kościołów w przybory liturgiczne, a zatem w ołtarze, w kazalnice, w kraty, otaczające chóry, w chrzcielnice i t. p. Sprzęty te są zawsze kute w kamieniu, jednakże nie przejęły ozdób, jakie były w użyciu we Włoszech od czasów rzymskich. Przedmioty te wykazują raczej wyraźne zdobnictwo płaszczyzn, t. zn. posiadają pola i brzegi najczęściej wypełnione ornamentem, co dotychczas nad morzem Śródziemnym da się wyjątkowo wykazać: mamy tu na myśli ornament wstęgowy, złożony z wielu pasów. Ciągnie się on spleciony i powiązany w pewnym kierunku lub też jako wzór bez końca. Niekiedy spotykamy na polach motywy zwierzęce i roślinne. Widzimy na nich mechanicznie wprost powtarzane typowe kształty. Zwłaszcza, jeżeli odtworzona jest postać ludzka, widzimy, iż jakkolwiek wykonana zgodnie z przyzwyczajeniem artysty, kompozycję ma taką, jaką się zazwyczaj spotyka na gruncie wschodnim.

Dobrze utrzymane sprzęty kamienne tego rodzaju rzadko przechowały się w całości. Odnajduje się czasem drobne fragmenty, które do niedawna jeszcze leżały rozrzucone. Należą do nich np. łomy z kościoła św. Sabiny na rzymskim Awentynie. Pojedyncze kawałki zostały w miarę potrzeby przy ponownym użyciu płyt pocięte, wiele z nich rozbite, większość zaginęła. Jeszcze w latach osiemdziesiątych można było wszędzie we Włoszech spotykać fragmenty tej sztuki. Istotnie pierwiastek germański był tam dosłownie deptany. W podobny sposób sztuka północna, przepływając później przez Włochy po raz drugi, wraz z „gotykiem“, otrzymała od renesansu to obelżywe miano, którego obecnie użyłem dla oznaczenia stylu. Z naukowym pietyzmem zestawiał Mazzanti grupę starych płyt, tworzących niegdyś zamknięcie chóru: są to geometryczne ornamenty różnych odmian, zawsze jednak jest to ta sama trójpasiasta plecionka, znacząca się korzystnie równoległymi liniami światła i cienia. Są to koła zadzierzgnięte jedno o drugie, które widnieją również na czarze z Nagy-Szent-Miklos, częściej jeszcze palmy lub wici, wypełniające całą płaszczyznę, wreszcie koła, przecięte krzyżami i przekątnymi, czasem arkady, wypełnione wszelakiego rodzaju symbolicznymi

motywami — jednym słowem, różnego rodzaju motywy, wypełniające płaszczyznę. Do właściwej architektury ornament ten przedostał się dopiero później.

Najwcześniejszy moment pojawienia się na budowlę tego wstęgowego, wielopasiastego ornamentu wykazać możemy na grobowcu Teodoryka w Rawennie, gdzie jako górny gzyms tworzy on tak sławny „fryz obcęgowy“ tej rotundy na ośmiokątnej podstawie. Budowla ta, jako jedyna kamienna, a przedewszystkiem dzięki olbrzymiej płycie kamiennej, tworzącej pułap, wyróżnia się silnie z pośród pozostałych ceglanych budowli Rawenny. Rozwiązaniem zagadnienia są ornamenty równoległe dalekich coprawda kościołów ormiańskich, z pomiędzy których utrzymały się nie najstarsze, lecz pochodzące z końca VI, a zwłaszcza z VII wieku. Wielorzędny ornament, zastosowany jako gzyms zewnętrzny, tak jest na nich zwykły, że wystarczy przypomnieć sobie o indogermańskim pochodzeniu Armeńczyków i ich styczności z Gotami w czasie ich pobytu na południu Rosji, aby w granicach sztuki zachodu móc wyjaśnić pojawienie się tego, jedynego w swoim rodzaju motywu w Rawennie. Również i kształt budowli, materiał jej i technika świadczą, iż grobowiec Teodoryka jest dziełem Armeńczyka lub Gota, wyszkolonego w armeńskiej architekturze.

O kościołach armeńskich pomówimy jeszcze niżej. Tutaj wspomniemy tylko o ich ornamentyce. Po wyciętych w zęby i ustawionych obok siebie łukach zjawia się wkrótce i prawie wyłącznie zaczyna panować ornament ze wstęgi plecionej oraz taki kształt głowicy, jaki bylibyśmy skłonni uznać za typową postać tego, co w „romańskiej“ sztuce zachodu przyzwyczailiśmy się nazywać „głowicą kostkową“. Typowy przykład przedstawia katedra w Artik, której daty powstania coprawda nie znamy, lecz którą według pewnych cech stylu zaliczyć należy raczej do VI, niż do VII stulecia. Widzimy na niej szczególnież do absydy zachodniej z typowym szeregiem ślepych arkad, stykających się w rogach, z dwiema wypukłościami (słupami), na których jest osadzona kostka ścięta półkolisto. Powyżej znajduje się skośna nasada oraz łuk w skośnej płaszczyźnie, wypełnionej równomiernie siecią trójpasiastych wstążek, idących w kierunku przekątni poprzez połowę łuku i prostopadłemi na nią. Krzyż pamiątkowy, wypełniający okno, pochodzi z późniejszych czasów. Należy jednak zauważyć, że nawet ten krzyż ze swoją podstawą i ramami jest w całości utworzony ze wstąg dwu i trójpasiastych. Jest to typowe dla wszystkich armeńskich krzyżów, stawianych na grobach, tak pokrewnych krzyżom irlandzkim i północnoangielskim. Pod oknem napisy.

Skłonność do wprowadzania motywu zwierzęcego jest właściwa zarówno sztuce altajskiej, jak indo-germańskiej. Mieliliśmy tego przykład na przedmiocie złotym z Kelermes. O naśladowaniu przyrody nie może tu być mowy. Zwierzę może tak jak u narodów turkmeńskich mieć znaczenie totemu, może, tak, jak u Germanów, służyć za punkt wyjścia dla rozbudzenia fantazji, tu jednak ma ono kształt raczej nieokreślony, zaznaczający jakiś sens, często czysto zdobniczy.

Ta skłonność do formalnego wyzyskania ciała zwierzęcego w przeciwstawieniu do wiernego naśladownictwa natury u Semitów i Greków charakteryzuje zarówno sztukę ludów koczowniczych, jak i narodów północy.

Wybiegłem nieco naprzód w celu zestawienia dwóch, łatwo dających się rozdzielić dziedzin sztuki altajskiej i indo-germańskiej, obecnie znów wracam do porządku chronologicznego. Czas przejściowy od starożytności do średniowiecza stoi naogół pod znakiem wędrówek światowych i wzajemnego przenikania. Jednolitych prądów sztuki niebardzo tu jeszcze można oczekiwać. Musiały one jednakże istnieć na północy, gdyż w przeciwnym razie ani ludy wędrownie z uralsko-altajskich okolic nie byłyby mogły w tak czystym kształcie przynieść do Węgier swej geometrycznej wici, ani Longobardowie nie byłiby tak narzucili Włochom sztuki indo-germańskiej. Wogóle prawidłem jest, że, w miarę zbliżania się do morza Śródziemnego, sztuka starożytnego Wschodu, sztuka grecka, cechy ludów koczowniczych i północ coraz bardziej się ze sobą splatają.

Prof. Dr. Józef Strzygowski.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

* Henryk Bordeaux. „La chair et l'esprit”. W poprzedniej powieści swojej „La résurrection de la chair” p. Bordeaux poruszył z odważną szczerością donjostę zagadnienie: w Thann w Alzacji, w przededniu ataku, w chwili, gdy kapitan Andrzej Bermance, stojący na kwaterze u pp. Ritzen, ma wyruszyć na pole bitwy, oddaje mu się córka ich, Marja, z kapitanem zaręczona. Andrzej pada zabity nazajutrz, a matka jego, przybywszy w kilka miesięcy później na grób syna na cmentarzu w Moosch, dowiaduje się od Marji, że z tej tragicznej chwili zapomnienia urodzi się dziecko. Pani Bermance, jakkolwiek „mieszczka” nie waha się „wywrócić ustanowionego porządku”: nie chce ukrywać niedoszłej synowej i spodziewanego dziecka i zabiera ją do siebie, do starej siedziby sabaudzkiej. Tu, nie bacząc na opinię rodziny i sąsiadów, pragnąc tylko wynagrodzić krzywdę, wyrządzoną przez Andrzeja, obchodzi się z Marją jak z córką, a syna jej, gdy się urodził, wychowuje jak swego wnuka. Rodzina Ritzenów w Alzacji nie zna „hańby” Marji — wie tylko, że pojechała do pani Bermance szukać ukojenia dla swego bólu po stracie narzeczonego.

Ale wojna się kończy — Marja słucha w domu pani Bermance dzwonów Sabaudji i, z ciężkim sercem, myśli o radosnym dźwięku, jakim rozbrzmiewają dzwony Alzacji. Pani Bermance zapewnia ją, że wróci kiedyś do ojczyzny, a ojciec jej przebaczy, „z powodu Alzacji”; wreszcie sama zwraca się do p. Ritzena z tem żądaniem.

Lecz nagle ukazuje się tym dwom kobietom druga strona zagadnienia, na które odpowie powieść ostatnia utalentowanego pisarza: „La chair et l'esprit”. Wraz z zawarciem pokoju ogarnia je trwoga — teraz, kiedy życie powróci do normalnego trybu, kiedy minął czas ofiar, poświęceń i pobożności, co się stanie z dzieckiem, jak ułożą się stosunki dla tych, którzy do tego życia normalnego

wejdą z ciężkim dziedzictwem, wynikiem z wojny? Państwo Ritzen są zacnymi ludźmi o ciasnym horyzoncie myślowym — kochają bardzo córkę, więc przyjmą ją z powrotem do swego grona, byleby nikt w mieście o jej hańbie nie wiedział — bo, pomyślcie tylko, co za skandal, gdyby ktokolwiek w Thann domyślał się, że córka p. Ritzena, dyrektora wielkich przedsiębiorstw p. Heldinga, ma nieślubnego syna!

Postanowiono zatem, za wspólną umową, że dziecko zostanie u pani Bermance a Marja wróci do rodziców. I wraca, i widzi Alzację wolną od najeźdźcy, rozradowaną, strojną, i spotyka znów człowieka, Anzelma Siegel, którym pogardziła dla Andrzeja, a który nie przestał jej kochać i teraz błaga, żeby została jego żoną. Marja ucieka, przerażona, do pani Bermance, gdzie Anzelm ją odnajduje; skoro zaś tylko przybywa na miejsce, opinia publiczna uświadamia go — zrazu nie chce wierzyć „skandalicznej” historii o ukochanej i udaje się do domu pani Bermance. Rozmowa tej wspaniałomyślniej kobiety z młodzieńcem, o sercu przepelnionem miłością dla Marji, jest jedną z najszlachetniejszych, najbardziej ludzkich, a także najbardziej wzruszających kart, jaką pochwalić się może współczesna powieść francuska.

P. Bordeaux jest konsekwentny do końca — nie czyni żadnych ustępstw, przeprowadza zagadnienie tak, jak je sobie postawił w założeniu. Anzelm nie żąda nawet od Marji, żeby się wyrzekła dziecka — objaśnia, że w dniu podpisywania pokoju w Wersalu, dokąd był wysłany z delegacją alzacką, myśli jego pobiegły do tych setek tysięcy Francuzów, którzy polegli, a o których marszałek Pétain powiedział: „Gdyby ich spytano, czy chcą odzyskać życie a utracić znów Alzację, legli by dobrowolnie w ziemi”. Otóż „oni umarli za naszą Alzację, za każdego z nas jeden, mniej więcej. Więc ja, panno Marjo, wybrałem swego. Ten mój, to jest ten, który był pani. Niechże pani zatem nie boi się przeszłości”.

A matce swojej mówi: „Pogodziłem się z tym Andrzejem Bermance, którego nie znałem i którego się obawiałem: umarł na naszej alzackiej ziemi i dla nas. Wspomnienie jego będzie mi święte. Jego syn będzie moim synem. Cóż w tem takiego szczególnego”.

Manifestacje po zawieszeniu broni, uroczyste wejście wojsk francuskich do Colmaru i Strasburga, podpisanie pokoju w Wersalu — to wypadki, które musiały oddziaływać gwałtownie i bezpośrednio na serce i na dusze. P. Bordeaux zrozumiał to doskonale, nadając im znaczenie nie tylko wspaniałych widowisk, lecz i nauki, która winna mieć stanowczy wpływ moralny i społeczny na to „życie rozpoczynające się nanow po wojnie, w społeczeństwie, które się zrodzi z wojny samej”.

* Wystawa Mollerowska w galerji Mazarino Biblioteki Narodowej w Paryżu. Paryska Biblioteka Narodowa posiada najbogatszą i najbardziej kompletną kolekcję zarówno zbiorowych wydań dzieł Moliera, jak edycji jego poszczególnych utworów. To też nie mogła święcić godniej jego trzechsetlecia, jak urządzając z jego okazji publiczną wystawę tych bezcennych skarbów. Działy rękopisów i rycin przyłączyły się do działu druków, reprezentowanego, oczywiście, najpokaźniej, ażeby uczynić z tego ugrupowania ich zabytków rzecz w swym rodzaju jedyną. Zebrano tu wszystkie rzadkie i najpiękniejsze edycje nieśmiertelnego autora *Świętoszaka*: dwutomowe wy-

danie dzieł zbiorowych, dokonane w r. 1666-ym u Tomasza Hardy w Paryżu; wydanie z r. 1673-go w siedmiu tomach; siedmiotomowe również wydanie z r. 1674—75, przejrane i poprawione przez niego przed śmiercią; piękne wydanie z r. 1734-go, ozdobione sztychem Lépicié z portretu Moliera, przez Coypela, jednego z dwóch jedynych może jego portretów autentycznych. Zebrano też oryginalne edycje każdego z utworów. Nie jeden bibliofil musiał spędzić tu wobec unikatów, o których wolno mu tylko marzyć beznadziejnie, długie godziny pożądania, ekstazy i męki. Jeden z kronikarzy paryskich zwraca z tej racji uwagę na dwa wydania — jakże nieskończenie rzadkie — *Précieuses ridicules* — jedno z błędem drukarskim na drugiej stronie, drugie z błędem również na tytułowej kartce! Wobec podobnych białych kruków, „analogowy” zbieracz gotów jest na wszystko.

Natomiast wielbicieli geniuszu Moliera, ludzi, dla których jego dzieło będzie zawsze nieprzebranem źródłem rozkoszy duchowych, pobudzić mogła ta wystawa do innych medytacji. Danem im tu było stwierdzić bezpośrednio wpływ, jaki dzieło wywierało na współczesnych, wraz bowiem z oryginalnym wydaniem każdego utworu, wystawione były z jednej strony najbardziej znane z rzeczy powstałych za jego impulsem, z drugiej te, które zobrazowują najbardziej zaciekle zwalczanie Moliera przez skoalizowane potęgi ciemnoty, zawiści i nietolerancji. Żadne z nich nie mogą natchnąć bardziej owocnych refleksji, niż anatemy ciskane na niego po przedstawieniu pierwotnej i drugiej wersji *Świętoszka*.

Wystawę uzupełniały autografy Moliera i cenna kolekcja rycin, odtwarzających czy to jego samego, czy to jego przyjaciół, współpracowników i protektorów. Autografy genialnego twórcy tyłu arcydzieł — podpisy figurujące na pokwitowaniach czy kontraktach — są niezmiernie rzadkie; ogólna ich liczba nie wynosi, o ile się zdaje, więcej nad piętnaście. Cztery z nich są w posiadaniu Biblioteki Narodowej — cztery zwyczajne podpisy. Co stało się z rękopisami utworów? Skrzętnie dociekania poszukiwaczy nie dały nam dotąd zadawalającej odpowiedzi na to pytanie.

* **René Boylesve.** „*Le carrosse au deux lézards verts*”. Wyrwać się z rzeczywistości — takie wydaje się, jeśli nie hasło, to przynajmniej bardzo wyrażenie dzisiejszej francuskiej literatury powieściowej. Urojone wyspy, królestwa z bajki, fantastyczne strefy, oto tło, które z upodobaniem wybierają powieściopisarza do swoich utworów. P. Boylesve z prostotą, popartą wielkim rozumem a nawet filozofją, zaprasza czytelnika do przyglądania się miniaturowemu zaprzęgowi dwóch zielonych jaszczurek, które w karecie wrózki Złośliwości przewożą dwie córki drwała do krajów zaczarowanych.

Jestto bajka fantastyczna — *un conte de fée* — której wdzięk podobny jest do barwy na owocach: dotknąć się tej barwy, znaczy ją zniszczyć. Autor daje jednak bajce swojej podkład naukowy; zapatrywania jego na postępy wiedzy i mechaniki, jego zasady literackie, filozofja i estetyka przenikają stopniowo z bajkowych rozdziałów do czytelnika, podczas całej podróży karety, ciągniętej przez dwie zielone jaszczurki. A ponieważ p. Boylesve we wszystkim, czego uczy czytelnika, nie przybiera tonu mentorskiego, przeto książka jest zajmująca do ostatniej kartki.

* **Tristan Bernard.** „*My love*”. Autor „Kawiarenki” jest jednym z niewielu humorystów, jakich dzisiaj literatura wszechświatowa posiada. Nowa czteroaktowa komedia jego, „*My love*”, wystawiona w teatrze paryskim „*Marigny*” zdobyła wielkie powodzenie, pobudzając widzów do nieustannych wybuchów śmiechu; jako twór literacki stoi wszelako na poziomie nierównej roboty spółkowej.

Umiera milioner i zostawia testament na rzecz trzech siostrzeńców: Lucasa, Merlina i Renauda. Pisarz, wydany od notariusza, u którego testament jest złożony, oznajmia dwom pierwszym, że zapisy na ich rzecz są niewielkie, Renaud zaś otrzyma kilkanaście milionów, pod warunkiem, że poślubi Janinę Arpin, córkę kapitana, której istotnym ojcem był jednak testator. Zawiadomiony o tem przez przyjaciela Renaud wybiera się na poszukiwanie Janiny, którą znajduje w mieście prowincjonalnej, gdzie utrzymuje się z lekcji angielskiego, mimo, iż zna język tylko z marnego podręcznika i nie może jednego zdania ułożyć bez błędu. W akcie drugim Renaud jest uczniem Janiny; zakochał się w niej i robi zdumiewające postępy, gdyż... spędził kilka lat w Londynie i włada angielskim doskonale. Janina, podsłuchawszy rozmowę jego z Anglikiem, którego przypadek samochodowy sprowadził do jej domu — pewna jest, że ma do czynienia z bandytą, pragnącym ją ograbić, i ucieka do ciotki w Caen.

Lucas i Merlin wybrali się również na poszukiwanie Janiny, postanowili ją wykraść i taki tej przygodzie nadać pozór, żeby Renaud nie mógł jej poślubić. Plan ten wszakże krzyżuje przyjaciel tego ostatniego, który podsuwa lotrzykom własną kochankę; cała ta przygoda jest z niesłychanym humorem przeprowadzona. Szkoda, że sztuka ma akt czwarty, zupełnie zbyteczny, rozgrywający się w oberży wiejskiej, gdzie spotykają się „przypadkiem” wszystkie osoby komedji, wchodzące i wychodzące jak marjonetki. Naogół komedja tryska dowcipem, humorem i werwą.

* „**W cieniu katedry**”, dramat liryczny w trzech aktach, muzyka p. *George'a Hùe*, słowa pp. *Léna* i *Henryka Ferrare*. Z głośnej książki znanego pisarza hiszpańskiego, Blasco Ibaneza, wykrojone libretto posłużyło p. Hùe za podkład do dramatu lirycznego, wystawionego w Operze Komicznej w Paryżu. Partycja zaleca się stylem jasnym i czystym; jest to kompozycja zrównoważona, tematy rozwinięte umiejętnie, orkiestra popiera dialog wokalny, nigdzie go nie zagłuszając — słowem p. Hùe wykazał, że jest wytrawnym muzykiem.

Urok specjalny powieści Ibaneza stanowi miejsce i otoczenie, w którym rozgrywa się akcja — klasztor katedry w Toledo, oryginalne zbiorowisko skromnych siedzib ludzkich na poziomie dachu olbrzymiej budowli, zamieszkanych od trzech wieków przez ludność na pół duchowną na pół świecką. Skoro takie tło z konieczności odpadło w librecie, pozostała fabuła, którą autorowie usiłovali, niezawsze umiejętnie, dostosować do wymagań muzycznych i scenicznych dramatu lirycznego.

* **Cenny zabytek artystyczny.** W kościele farnym w Nowem Mieście znajduje się płyta mościężna, na której wyobrażona jest postać Wielkiego Komtura Kunza v. Liebensteina. Płyta jest roboty flandryjskiej i pochodzi z r. 1391, cenny to zatem i rzadki zabytek. Dotychczas wprawiona była w po-

sadzke kościelną, skutkiem czego ulegała stopniowemu niszczeniu; obecnie jednak, celem uchronienia jej od zupełnej zagłady—wmurowano płytę w boczną ścianę kościoła. Koszty przeniesienia pokryło Województwo Pomorskie.

Książki nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa księgarni Perzyński, Nikłowicz i S-ka.

Stanisław Zieliński. W szponach Sfinksa (pamiętnik więźnia). Str. 378.

A. Junosza-Gzowski. Półksiężyc i gwiazda czerwona. Wspomnienia Turkiestańskie. Str. 111.

Dr. E. I. Dillon. Współczesny Meksyk. Z upoważnienia autora przełożyła Jadwiga Pawłowiczówna. Str. 92.

Tadeusz Koźmiński. Sprawa mniejszości. Str. 162.

Stanisław Szpotkański. Sprawa Górnego Śląska na Konferencji Pokojowej w Paryżu. Str. 109.

Dr. Stefan Dąbrowski. Walka o rekruta polskiego pod okupacją. Str. 348.

Nadzwyczajna Danina Państwowa. Opracował d-r Wiktor Natanson. Str. 72.

Jak opłacać daninę państwową. Opracował d-r Wiktor Natanson. Str. 15.

Prawa i obowiązki obywatela. Opracował Stanisław Opolski. Str. 55.

Różne.

Jerzy Tański. Dzieje polityczne Polski w krótkim streszczeniu. Warszawa, 1922 r. Str. 314. Nakładem księgarni F. Hoessicka.

Nasza Konstytucja. Cykl odczytów, urzędowych staraniem dyrekcji szkoły nauk politycznych w Krakowie przy udziale *Wład. Abrahama, Tad. Dwernickiego, Stan. Estreichera, Wł. L. Jaworskiego, St. Kutrzeby, M. Rostworowskiego, St. Wróblewskiego i Fryd. Zolla*. Kraków, nakładem autorów, 1922. Str. 228.

Aleksander Brückner. Mikołaj Rej. Człowiek i dzieło. Nakładem H. Altenberga we Lwowie. 1922. Str. 102.

Artur Górski. O zmartwychwstaniu. Dramat w czterech aktach. Str. 106. Warszawa, 1922. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska”.

Kalendarz Akademicki na rok 1922. Wydawnictwo Związku bratnich pomocy polskiej młodzieży akademickiej. Str. 188.

Krótki zarys działalności Amerykańskiego wydziału ratunkowego. 1922. Str. 13.

K. Sochaniewicz. Z zagadnień Kościoła Wschodniego w Polsce; Nakładem miesięcznika „Drogi Polski” 1922. Str. 24.

Drogi Polski. Miesięcznik polityczno-gospodarczy Nr. 1 i 2.

Przegląd Warszawski Nr. 4.

Czartak. Miesięcznik literacko-artystyczny Nr. 1.

Przegląd Akademicki. Styczeń 1922.

RADA ZARZĄDZAJĄCA SPÓŁKI AKC. IMPORTOWO-EKSPORTOWEJ „AGRUMARIA”

ma zaszyt zawiadomić PP. Akcjonariuszy, że dnia 24 marca r. b. o godzinie 4½ po południu w lokalu Spółki, Szczygła 12 w Warszawie odbędzie się
NADZWYŻAJNE WALNE ZGROMADZENIE

z porządkiem dziennym:

- 1) Wniosek Rady Zarządzającej o dalsze podwyższenie kapitału akcyjnego Spółki.
- 2) Wolne wnioski akcjonariuszy.

PP. Akcjonariusze pragnący uczestniczyć w Zgromadzeniu, zechcą przedstawić swe akcje najpóźniej do dnia 16 marca w lokalu Spółki w godzinach urzędowania.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYŃACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch”, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE” Redaktor: Leon Kozłowski.

Oddrisko na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca”, Kredytowa 2/4. Telefon 60-70.